Nr. 15. Warszawa, dnia 1 (14) Kwietnia 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Do składu Redakcyi „Prawdy" weszli pp.: Stefan Żeromski, Wacław Sieroszewski i Stanisław Stempowski.

POLITYKA.

PEŁNOLETNOŚĆ I PRZYMIERZE.

Dnia 5 maja książę Fryderyk Wilhelm, najstarszy syn cesarza Wilhelma II, kończy lat 18, staje się pełnoletnim jako domniemany dziedzic tronu pruskiego i nierozdzielnego z nim niemieckiego. W Berlinie będzie wielka uroczystość. Nie wszyscy na wezwanie staną, ale ogromna większość nie zawiedzie. Dla niej stan radości jest normalnym: ogromna większość narodu niemieckiego raduje się z wielkości państwa, ze wskrzeszenia cesarstwa, i uczucia swoje ogniskuje w żywym symbolu zjednoczenia i potęgi: w cesarzu i rodzinie cesarskiej.

Na tem jeszcze się lista radości nie kończy: prócz przewidzianych będzie i nieprzewidziana. Telegramy obwieściły nagle, że na uroczystość pełnoletności zjedzie do Berlina cesarz Franciszek Józef ze swoim domniemanym następcą tronu—wciąż jeszcze Franciszkiem Ferdynandem, pomimo pogłosek o arcyksięciu Ottonie—i nietylko z nim, ale i z kanclerzem, hr. Gołuchowskim. To ostatnie nazwisko zdejmuje charakter czysto osobisty, jakiby przyjazd z Wiednia mógł mieć jako znak spójni pomiędzy dwoma domami panującymi, które rzecz dziwna, pomimo wspólnej krwi niemieckiej narodowej dotychczas wcale węzłami wspólnej krwi rodowej się nie łączyły, — a to zapewne nietylko z powodu różnicy wyznań i strzegącej ich nietykalności a wybaczalnej w tych sferach dumy, ale z powodu nieufności, nawet tajonej nienawiści, która je rozdzielała. Fryderyk II żółknął na wspomnienie Austryi, którą sam najpierw odarł, a potem do nieczystych robot swoich wciągał. Następca Fryderykowy groził już Habsburgom wojną. W huraganie napoleońskim, gdyby nie Rosya, nie byłoby nigdy przyszło do współdziałania, które zwaliło olbrzyma. Prusy, jak Rosyi zawdzięczają swoje istnienie w dzisiejszych od wschodu granicach, tak Rosyi tylko winne są wdzięczność za piątą i szóstą koalicyę. Austrya nie zrobiła dla nich nic, Austrya nie byłaby może nie zrobiła i dla samej siebie, gdyby nie rozpęd po r. 1812, nadany dziejom przez Cesarza Aleksandra I.

Zapowiedź przyjazdu uderzyła wszystkich — sprawiła wrażenie w Europie. Po odwiedzinach petersburskich ces. Franciszka Józefa z r. 1897, zapomniano już prawie o przymierzu z r. 1879, a wścieklizny niemieckie w sejmie wiedeńskim i w całem państwie przedlitawskiem, podsycane z Niemiec, stłumiły wiarę w rdzenność tego, co formalnie przecież istnieć jeszcze nie przestało i przy sposobności nawet mdłemi omówieniami z toni niepamięci wydobywane było. Dziennikarstwo, bezpośrednio zapowiedzią pobudzone do gadania i myślenia, nie z prostej tylko grzeczności, ale z przekonania lub półprzekonania wyraziło zadowolenie swoje z odwiedzin formalnego sprzymierzeńca i zarazem ojca chrzestnego księcia lat swych dochodzącego. I nietylko rodzinne, ale i polityczne piętno starano się z obu stron na spodziewanych odwiedzinach wycisnąć. Dyplomacya, niemająca powodu w danym wypadku rozdymać znaczenia spodziewanego przyjazdu, powściąga języki dziennikarzy: ale nawet *Fremdenblatt* nie może zaprzeczyć, że „mężowie stanu obu stron rozpatrzą położenie polityczne." Niczego więcej nie potrzeba dla nadania odwiedzinom doniosłości politycznej.

Owo położenie polityczne do rozpatrzenia nadające się, komentarz dzienników zacieśnia do półwyspu Bałkańskiego, gdzie ks. Ferdynand podobno myśli o jakichś zmianach kosztem Turcyi. Jeżeli istotnie w Berlinie Niemcy mówić będą z Austryą o półwyspie Bałkańskim, będzie to wskazówką zmienionego od trzech lat położenia po za obrębem półwyspu Bałkańskiego. W myśl porozumienia się w Petersburgu sprawy półwyspu wyłącznie tylko do Rosyi i Austryi należeć powinny: dopuszczenie trzeciego bez udziału jednej ze stron naruszyłoby równowagę myśli i woli w porozumienie włożonej. Dlatego ograniczenie widnokręgu takie, jakie wskazują dzienniki, gorszem byłoby od zostawienia go w jego nietykalnym ogromie ogółu stosunków politycznych Europy, a przedewszystkiem swoich własnych. Jeżeli owo „rozpatrzenie przez mężów stanu" nie ma dotyczyć błahostek, musi dotknąć przymierza, które mocno zaśniedziało, a niełatwo w stanie połysku utrzymać się daje. Przymierze to, w r. 1879 przeciwko Rosyi i Francyi zawarte w celach obronnych, nie utraciłoby też i dziś kierunku swej siły: ale również jak dotychczas nie przestałoby być przymierzem dyplomatycznem. W przypuszczeniu zasadniczem, które mu za podłoże służy, trzeba o niem powtórzyć słowa Bismarcka: „Kein zuverlässiger Bundesgenosse." Tak, Austrya niewieleby mogła zrobić Niemcom dobre-

go w czasie wojny: nie dlatego, żeby nie chciała, ale dlatego, żeby nie mogła—z wewnętrznych i zewnątrznych przyczyn nie mogła. I dlatego przy największym nawet żniwie przyszłego zjazdu trzeba pamiętać, nie o obfitości słomy, ale o wydajności omłotu.

Tydzień polityczny. Roberts osaczony! Zacna życzliwość dla Boerów wydała już taki okrzyk w dziennikach europejskich, mniej z dyplomacyą, niż z sercem się liczących. Okrzyk ten powtórzyła i głupota, nierozumiejąca ciężkich zadań kunsztu wojennego. Rzeczywiście oddziały boerskie podsuwają się pod Bloemfontein. Od rozprawy z d. 31 z. m. pod Buschmanskoop lub Koornspruit, na północy było jedno jeszcze spotkanie na południu, pod Reddersbergiem, dla Boerów korzystne. Pod Ladybrand na wschodzie ukazały się silniejsze oddziały republikańskie, ale te, przy braku pewnych dat czasu, należeć mogą do korpusu Oliviera, który istotnie wymknął się już szczęśliwie Anglikom i w strategicznem obejściu Winburga znajdować się musi. To już wszystko, jeśli pominiemy drobny ruch około Paarderberga i, zdaje się, zaniechanie odsieczy Mafekingu. O osaczeniu Robertsa możnaby z pewnem prawdopodobieństwem mówić, gdyby wszystkie siły z rzeczypospolitej Orańskiej mogły zająć linie zewnętrzne, najbliższe Bloemfonteinu, i gdyby zdolne były natrzeć artyleryą na wziętych w środek. Do takiego czynu wojennego potrzeba doskonałej regularnej armii zasobnej w działa a przytem licznej. Wszystkiego tego brak Boerom.

Do księcia Walii, kiedy w drodze do Kopenhagi wychodził z wagonu w Brukselli, strzelił jakiś Sipido, Belgijczyk. Nie trafił; kula uwięzła w wagonie. Śledztwo wykryło wspólników—młódź rzemieślniczą. Charakter czynu dotychczas mętny: może jest pokrewieństwo z Luccheniim, ale tylko proces odsłoni prawdę.

Królowa angielska od 4 b. m. w Dublinie nie doznała żadnego przypadku. Sześćdziesiąt tysięcy dzieci zgromadzono w Phoenix Parku na powitanie monarchini. Irlandczycy trzymają się przyzwoicie zdaleka.

W Chinach rusza się. Mocarstwa, każde zosobna, zrobiły przedstawienie o potrzebie zduszenia chińskiego związku Wielkiego Kułaka, fanatyzmem przeciwko Europejczykom dyszącego. Zabójstwa w Szantungu zniewolą wkrótce Niemcy do energii.

We Francyi w Izbie dep. na porządku dziennym interpelacya w sprawie Beiry portugalskiej, którą przechodzą na teatr wojenny angielskie posiłki i środki wojenne.

W Stanach Zjednoczonych współczucie społeczeństwa z Boerami rośnie; państwo sprawia ciągle jeszcze wrażenie chłodu i obojętności. Wyczuć z nich można przyjaźń z Anglią, tj. jakąś wyprawę wspólną w celach rabunku.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RUCH ETYCZNY

(Zarys rozwoju towarzystw kultury etycznej).

Je ne suppose rien,
Je ne propose rien —
j'expose.

I.

Uderzono *we Francyi* po raz pierwszy w dzwon etyczny odrodzenia 1892 r. Młody nauczyciel retoryki jednego z liceów paryskich, P. Desjardins, napisał w tym czasie niewielką książeczkę p. t. *Le devoir present* (Obowiązek naszego czasu), w którym zwrócił uwagę na różne trapiące ludzkość w naszych czasach wątpienia i powołał wszystkich ludzi dobrej woli do walki ze złem. Udało mu się zebrać grono ludzi pokrewnie myślących, utworzono *Union pour l'action morale*, która wydaje czasopismo i w r. 1895 ogłosiła program prac o zarysie następującym: „Pozwólcie nam wspólnie pracować w tym kierunku, abyśmy owo dobro, które uznajemy jako takie, zdołali urzeczywistnić. Nie uważamy siebie samych za lepszych od otoczenia naszego; błędy nasze są wspólne, tylko że my prędzej, niż bliźni nasi, zdobyliśmy świadomość złego, w którem żyjemy. Przyszliśmy do wniosku, że naszym pierwszym obowiązkiem jest— odbudować w ludziach *człowieka*. W tym celu winniśmy dążyć do zreformowania wychowania. Mając to na myśli, pracujemy na rzecz pokoju społecznego. Bowiem — budząc w sobie człowieka, stajemy się jednocześnie bardziej czuli na wszystko, co ludzkie — łatwiej rozumiemy bóle bliźnich naszych. Interesom egoistycznym przeciwstawiamy przekonanie, że takie tylko czyny wartość posiadają, które odpowiadają wymaganiom szczerej sprawiedliwości.

„Uznajemy, że zdobycze ludzkości w sferze dóbr materyalnych są istotnie wielkie. Zdejmują z pleców człowieka niejeden ciężar i dają mu możność i czas zajmowania się sprawami bardziej idealnemi. Z drugiej atoli strony cywilizacya powiększa potrzeby prędzej, aniżeli daje środki ku ich zaspokojeniu. Zwyrodnienia jej, niezmierna przewaga pieniądza — coraz bardziej rzucają się w oczy. Prawdziwa zaś cywilizacya, której krzewieniu służyć chcemy, ma na celu ziszczenie najwyższej świadomości moralnej naszych czasów w życiu praktycznem. Ta cywilizacya spoczywa w człowieku samym. Można używać telefonu, a jednocześnie być — barbarzyńcą.

„Nie chcemy niszczyć albo budować społeczeństwa zgoła nowego w drodze współzawodnictwa z już istniejącem. Więcej wierzymy ewolucyi, niż przewrotom. Pierwsza wydaje owoce, drugie zaś na miejsce jednego zła rodzą inne. Chcemy tylko obudzić we wszystkich państwowych i kościelnych instytucyach nowego ducha, któryby powoli zniósł panowanie martwej litery. Nie powinniśmy nigdy wychodzić z założenia, że jakakolwiek forma dobra moralnego jest doskonałą i ostateczną: my przeciwnie wierzymy, że dobro jest niewyczerpane. W ten tylko sposób zdołamy wywalczyć tolerancyę i szacunek dla wszelkiej działalności pożytecznej.

„Nie chcemy nikogo ubierać w łańcuchy formułek albo nakazów — każdy może w każdej chwili opuścić nasze szeregi, o ile zdobył pewność, że istnieje coś po za nami lepszego,

„Postaramy się, aby rozumieli nas wszyscy, nieucy nawet, będziemy tedy — otwarci, popularni, prości, słowem ludzcy."

Działalność „Związku" obraca się mniej więcej w tych samych granicach, co działalność poprzednio wyliczonych towarzystw. Odbywa on zgromadzenia, urządza odczyty, dyskutuje, wydaje czasopismo miesięczne. Jest dużo estetyki w tej całej działalności — w kraju rasy łacińskiej pielęgnują się dawne tradycye ideału helleńskiego *Kalokagathii*. Jest także coś specyficznie niejasnego w artykułach programowych, jakiś symbolizm pokojowy, jakaś mgła „nieprzespanych snów — i niezniszczonych nadziei." Są to atoli drobnostki wobec pozytywnego programu, który towarzystwo stara się w czyn wcielić. W roku zeszłym spróbowano w najętej sali (w dzielnicy robotniczej) urządzać raz na tydzień zebrania, na których inteligencya schodziłaby się mogła z ludźmi pracy fizycznej. Przedmiotem dyskusyi były różne kwestye aktualne. Wogóle trzeba zaznaczyć, że ruch etyczny we Francyi znajduje się dotychczas jeszcze w zaczątku.

---

11)

Aleksander Świętochowski.

DUCHY.

CZĘŚĆ CZWARTA.

KONIEC ŚWIATA.

Po południu masa ludzka przestała kłębić się i ryczeć, a napełniwszy trybuny, szumiała tylko spokojną rozmową, spadającą z amfiteatru na plac, jak szeroka kaskada. Po długiem oczekiwaniu dostrzeżono dwa wozy, zbliżające się wolno w otoczeniu konnej straży. Rozpoznano je.

Głosy.

Skazańcy jadą!

Widzowie uciszyli się i powstali z miejsc, wytężywszy uwagę. U wejścia na plac wozy zatrzymały się: z pierwszego zeskoczył kat i ośmiu jego pomocników, którzy zsadzili z drugiego mężczyznę i kobietę w długich koszulach. z rękawami w tyle związanymi i z tablicami na piersiach. Poprowadzili oni ich i ustawili osobno przy dwu stosach. Białe, duże napisy na czarnych tablicach skazańców pozwalały zdaleka odczytać ich nazwiska: Orla Mirol i Krysto. Oboje bladzi, ale oboje spokojni, wzniešli natchnione oczy ku uśmiechniętemu niebu, lecz opuścili je szybko, a spojrzenia ich związały się mocno smutkiem i miłością. Stali tak ciągle zapatrzeni w siebie, jak gdyby ich dusze w ostatniem pożegnaniu przesyłały sobie wzajemnie czułość, pociechę i siłę.

Szybkim biegiem nadleciał szereg wytwornych powozów w licznym orszaku konnego wojska: przybył król z arcykapłanem, dostojnicy świeccy i duchowni oraz dworzanie. Władcy zajęli lożę, na jej stopniach umieścili się dworacy. Na plac wjechała i otoczyła stosy gwardya, którą dowodził Lagor. U stóp króla siadł Koko, który wpatrzywszy się w więźniów, szepnął coś swemu panu. Wyrod zbladł, położył stopę na ramieniu błazna i mocno go nią przycisnął.

Przed lożę wystąpił Dolor, rozwinął papier i przeczytał:

Dolor.

„W imieniu jego królewskiej mości. Trybunał sumienia, rozpoznawszy sprawę trzech tysięcy chłopów, którzy zbuntowali się przeciw swym panom i ustawom państwowym, osądził, że głównymi podżegaczami i sprawcami tych zbrodni byli: pustelnik niewiadomego pochodzenia Krysto i córka zmarłego właściciela Orabu, Orla Mirol. Krysto namówił gromadę okolicznych poddanych, ażeby z nim udali się do Tonery, na grób Arjosa, zapewniając ich, że tam ukaże im się Zwiastun i objawi swoją wolę, która musi być odmienną od nauki zawartej w Księdze świętej. Tam dostał on od jakiegoś oszusta odpis rzekomo prawdziwych, a rzeczywiście sfałszowanych nauczań, w których mieszczą się występne twierdzenia. Wszystkie te zdrożne i bluźniercze kłamstwa Krysto głosił nietylko bandzie uwiedzionych chłopów, lecz rozpowszechniał je pismem i słowem: wydał on krążące w licznych kopiach rozprawy, jedną p. t. „Bóg prawodawca—człowiek sędzia," drugą — „Złudzenia wiedzy" i trzecią — „Potwarcy Arjosa," nadto w wielu miastach wykładał publicznie swoje przewrotowe teorye, które jemu jednały zwolenników, a państwu i kościołowi — wrogów.

Czynną pomocnicą, nieodstępną towarzyszką, a niewątpliwie bezślubną kochan-

Uwaga ta z większą jeszcze słusznością da się zastosować do ruchu etycznego we Włoszech, Austryi i Szwajcaryi.

We Włoszech istnieje dotychczas jedno tylko, założone przez prof. Levi-Morenos towarzystwo etyczne w Wenecyi, które rozwija się bardzo pięknie i zostawia ślady głębokie na polu budzenia pragnień społeczno-etycznych. *Circolo etico sociale* powołało do życia biuro porady prawnej, bibliotekę i szkołę ludową. Do szkoły uczęszczają robotnicy dorośli; wykłady odbywają się zimą; latem natomiast uczniowie pod wodzą dyrektora, prof. Levi-Morenos, zwiedzają przybytki sztuki i nauki. Tak np. zwiedzono laboratorya i muzea uniwersytetu w Padwie, przyczem prof. Achilles Loria wypowiedział rzecz o „wpływie maszyny na pracę robotnika." W Wenecyi natomiast śród przepychu dawnych wspomnień, śród zagasłych ołtarzy piękna — często zdarza się sposobność mówienia o stosunku etyki i sztuki. Ruch etyczny we Włoszech jest bardzo młody, ale posiada już swój organ: *Cronache del Rinascimento etico-sociale* (Kronika społecznego i moralnego Odrodzenia), tygodnik bardzo dobrze redagowany, jeden z najlepszych wogóle organów ruchu etycznego. Tutaj zaprowadzono bardzo udatny sposób jednania zwolenników za pomocą ankiet w kwestyach obchodzących ogół włoski. Tak np. zaczęto od pytania: *dlaczego Włosi kłamią?* - Odpowiedzi nadesłano nietylko przez psychologów i uczonych, ale i przez ludzi zdala od inteligencyi stojących — stworzyły nader cenny materyał etno-psychologiczny.

W Austryi istnieje dotychczas jedno tylko towarzystwo etyczne w Wiedniu. Dzieli się na trzy grupy: literacką, która urządza odczyty, społeczną i pedagogiczną. Społeczna zapoczątkowała ankiety w celu zbadania np.: wyzysku terminatorów rzemieślniczych. Przesłuchano ekspertów: piekarzy, stolarzy, tokarzy, szewców itd., ogółem przedstawicieli 21 rzemiosł. Ankieta miała charakter poważny, przy badaniu był obecny delegat austryackiego inspektoratu fabrycznego. Rezultaty ankiety mają być ogłoszone.

Grupa pedagogiczna obrała sobie jako zadanie i cel główny — urządzanie wykładów z dziedziny pedagogiki dla rodziców i nauczycieli. Wykłady te obejmują część czysto teoretyczną — psychologię dziecka, część praktyczną, poświęconą sprawom hygieny wieku dziecięcego, wreszcie dział kwestyj specyalnych. Wykłady cieszyły się znacznem powodzeniem. Towarzystwo liczy obecnie około 450 członków. I tutaj wychodzi czasopismo specyalne (*Mittheilungen der ethischen Gesellschaft*). Nie ulega żadnej wątpliwości, że śród anarchii politycznej, trawiącej obecnie Austryę, towarzystwo kultury etycznej mogłoby i powinno odegrać rolę wybitną. Niestety jednak, czynniki walki gnębiącej społeczeństwa austryackie paraliżują zdrowe i uczciwe wysiłki ludzi „etycznych," dążących do uzdrowienia i odrodzenia moralnego.

W Szwajcaryi towarzystwa kultury etycznej istnieją od r. 1897, podzielone na dwie sekcye — społeczną i pedagogiczną. W sekcyi społecznej zajmowano się kwestyą mieszkaniową; stworzono stowarzyszenie mieszane pod względem rodzaju pracy — dla wymiany zdań i zbliżenia się wzajemnego; wreszcie odbywają się wykłady z dziedziny pedagogiki moralnej, bardzo dobrze prowadzone przez p. Dr. F. Foerstera.

Pozostało nam jeszcze powiedzieć słów kilka o towarzystwach kultury etycznej *w Niemczech*.

Późno, albowiem dopiero od r. 1892 słyszymy o przebłyskach ruchu etycznego w kraju „dobrych obyczajów." Głębokie a poważne przyczyny zdziałały, że aż dopiero u samego proga nowego stulecia zabrzmiała pobudka, nawołująca do krzyżowego pochodu przeciwko grzechom, obciążającym sumienie „blondynowej bestyi." Trzeba było bowiem wpierw — i to zajęło omal że nie większą część stulecia — pierścieniem żelaznym a pruskim związać poszczególne indywidualności państwowe i narodowe, gęsto rozsiane między Renem a Wisłą, Dunajem a morzem Północnem i wszystkie te partykularystyczne nadzieje, marzenia i ukochania skuć w jedną (taką jest ironia dziejowa!) bezkształtną masę kamiennej *Germanii*, groźnie patrzącej na ludzkość całą z wyżyn Szwarcwaldu. „Krwią i żelazem!" — chciałaby powiedzieć, gdyby mówić mogła ona zimna bryła nacyonalistycznego egoizmu — „oto hasło, które pieściły serca i dusze najlepszych mych synów po za mną, gdym w majestacie niebiańskim istniała zaledwie w myśli poety. Po za mną — a przede mną?..."

Takie i temu podobne pytania — nie gorzej, niźli jastrzębie, szarpiące nietylko wątrobę, ale przedewszystkiem mózg i serce współczesnych prometeidów niemieckich -- stały u kolebki ruchu etycznego w ojczyźnie Goethego.

Było to w r. 1892, kiedy kilku zacnych i światłych uczonych, Förster astronom i Giżycki filozof, odczuwając oddawna potrzebę odrodzenia moralnego społeczeństwa niemieckiego, zaprosili prof. Adlera z New-Yorku do Berlina w tym celu, aby wygłosił kilka odczytów programowych; sądzili, że żywy przykład najprędzej i najlepiej potrafi wpłynąć na otoczenie i uświadomi potrzebę towarzystwa etycznego. Nie omylili się. Czy istotnie inteligencya i burżuazya berlińska posiadały jeszcze tyle poczucia moralnego w swem wyziębionem przez Bismarka i miliardy sercu, czy działał tutaj urok takich nazwisk, jak Foerster—jeden z największych astronomów niemieckich, jak Giżycki, dość, że po kilku posiedzeniach wstępnych, - po opracowaniu programu i ogłoszeniu statutów, zorganizowało się towarzystwo kultury etycznej w Berlinie i rozwinęło w krótkim czasie pożyteczną i wielce zacną działalność społeczną. Utworzono kilka grup członków towarzystw kultury etycznej, rozrzucono po świecie drukowane słowo w tysiącach i dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, rozwinięto niezmiernie ruchliwą działalność literacką nietylko we własnym organie, ale i czasopiśmiennictwie burżuazyjnem wogóle.

W r. 1893 zwołano w Eisenach pierwszy zjazd etyków niemieckich — w celu bliższego omówienia programu i od tego czasu datuje się rozwój ruchu etycznego w Niemczech. Tutaj powiedziano apostołom: „Idźcie w świat i głoście dobrą nowinę" — powstają towarzystwa etyczne we Frankfurcie nad Menem, Wrocławiu, Fryburgu badeńskim, Jenie, Królewcu, Magdeburgu, Monachium, Strassburgu, Ulmie. Do ruchu przypływają zewsząd siły naukowe, przedtem luzem idące albo działające na własną rękę. Omal że nie wszyscy profesorowie etyki w 21 uniwersytetach niemieckich — z wyłączeniem mamutów, dekadentów, nietzscheanistów i lejtenantów — zaciągnęli się do szeregów bojowych „kultury etycznej." Zacny, „białą szatą owiany" — dziś, niestety, już nieżyjący Egidy — po pewnym oporze zgodził się na program etyków. Ruch jej jest tak silnym, że śmierć szlachetnego Giżyckiego, którego pracą i wolą stał w pierwszym roku — nie sprowadza żadnej katastrofy długotrwałej.



---

ką Krysta, była Orla Mirol, która wraz z nim odbyła pielgrzymkę na grób Zwiastuna, rozszerzała między ludem otrzymane w Tenerze tajemne nauczania i również jak jej wspólnik miewała podburzające wykłady dla kobiet. Dowodziła ona im, że jeżeli Bóg jest wszechmocnym i stworzył świat, to uczynił go takim, jakim go mieć chciał, że więc nie może go ani poprawiać, bo wszystko przewidział, ani karać, bo mu swoją wolę nadał. Bóg gniewny i mściwy, napawający się rozkoszą widoku męczarń grzeszników w piekle — według niej — przestałby być Bogiem. On dla swego dzieła może czuć tylko miłość, która też powinna być najwyższem prawem życia ludzkiego. Bez niej nie miałoby ono ani sensu, ani wartości. Bóg ukrył wszystkie prawdy przed człowiekiem i kazał mu je zdobywać badaniem lub doświadczeniem. A więc i tę prawdę wszechmiłości poznajemy w walkach, rozmyślaniach i cierpieniach. Wszakże występują czasem umysły, przez które duch boski przepływa silniejszym strumieniem i rozświetla im tajemnice życia. Takim umysłem był Arjos. Uczył on ludzi największej cnoty — miłosierdzia, które jest przygotowaniem do powszechnej miłości. Za to został zabity, a chociaż po śmierci jest dotąd przedmiotem czci zewnętrznej, duch jego, przechowujący się w najczystszych sercach, podlega ciągłemu prześladowaniu i męczeństwu. Trzeba go więc wyzwalać z bojaźni, bronić przed gwałtem, pomagać mu do zwycięztwa słowem i czynem. Jest to obowiązek ważniejszy, niż rozwiązywanie zagadek bytu. Bo zagadki mogą czekać, a nieszczęścia — nie mogą.

Oskarżona tak bezwzględnie przeczyła wszystkim tradycyom naszej wiary, że wymalowała twarz Arjosa, odmienną od czczonej powszechnie, która jakoby ukazała się jej we śnie i którą odtwarzając, ciągle płakała.

Te na pozór bardzo wzniosłe, a w gruncie podburzające nauki, zwłaszcza szerzone między ciemnem pospólstwem, stały się zarzewiem buntów i zbrodni. W wielu dzielnicach państwa chłopi wyzuli się z poddaństwa, zaczęli napadać, grabić, podpalać i mordować swych panów, motłoch miejski odmówił płacenia podatków i wykonywania powinności względem rządu, a nadewszystko szerokie masy ludności ogarnęła niewiara. Na zgromadzeniach publicznych, w szkołach, a nawet w domach modlitwy znieważano Boga i jego kapłanów, oskarżano starców i tłomaczów naszej świętej religii o zdradę i wiarołomstwa względem Zwiastuna. Trybunał sumienia, ratując kościół i państwo od ciężkich klęsk i niebezpieczeństw, uwięził przestępców, a najgłówniejszych: Krysta i Orlę Mirol osądził i skazał na spalenie. Wyrok ten ma być dziś spełniony.

Pomocnicy Kata przystawili schodki do stosów, wprowadzili na wierzch męczenników i przywiązali ich do żelaznych słupów, na których zawiesili zdjęte im z piersi czarne tablice. Oczy widzów jeszcze mocniej wbiły się w dwa punkty, a ich oddechy syczały w niespokojnem oczekiwaniu. Krysto i Orla patrzyli ciągle w siebie z oddali, tracąc tylko te spojrzenia, które im w drganiach powiek ginęły. Z ich natchnionych twarzy świecił spokojny zachwyt, którego ani na chwilę nie mąciła trwoga; z ich ust wykwitły kilkakrotnie blade uśmiechy i niby lekkie pyłki spadły z nich jakieś nieuchwytne wyrazy. Gdy oprawcy zeszli ze stosów i zajęli przy nich miejsca z pochodniami, zdawało się, że w grobowej ciszy zaczął nagle bić z pod nieba dzwon śmierci. Nagle w loży monarszej objawił się jakiś niepokój: przydeptany ciągle Ko-

ZJAZD RZEMIEŚLNIKÓW

I.

Trzeba się z tem zgodzić, iż rzemieślnicza forma produkcyi jest w dobie obecnej niemal przeżytkiem. Wiele gałęzi pochłonęła kapitalistyczna forma wytwarzania, wiele innych przekształciło się na sposób wielkofabryczny; inne, jeżeli dotąd jeszcze istnieją z pewnem powodzeniem i nawet cieszą się rozwojem, to jedynie dla tego, że technika przemysłu wielkofabrycznego nie zdołała ich wcielić do swej produkcyi. To, czego maszyna nie może wykonać, lub co wymaga obrobienia artystycznego — pozostaje dotychczas niepodzielnie w rękach rzemieślników. Pierwej jednak, czy później wszystko pochłonie wszechwładna produkcya wielkofabryczna. Każde jednak pochłonięcie ofiary przeżytkowej pociąga za sobą na razie pewną sumę strat, które dotkliwie odczuwa zarówno drobny wytwórca, jak i jego najemnik, czyli — majster i czeladnik.

Przemysł wielki, rozporządzając olbrzymią sumą udoskonalonych środków technicznych i pieniężnych, mając na swe usługi całe armie uzdolnionych fachowców, może się ostać nawet wobec powikłań rynkowych, wobec zaburzeń w polityce ekonomicznej; może otwierać kredyt długoterminowy, zalewać rynki, zadośćczynić największym zamówieniom i wybrednym wymaganiom spożywców. Gdy tymczasem mozolna i słabo produkcyjna praca przy warsztatach rzemieślniczych, jakkolwiek dokładna i rzetelna w wykonaniu, nie może odpowiedzieć tym wszystkim wymaganiom. Najpracowitszy, najsumienniejszy rzemieślnik wobec wzmożonego zapotrzebowania zawsze jest niesłownym; brak środków pieniężnych i technicznych nie pozwala mu przyjmować wielkich zamówień; jeżeli zaś je przyjmuje, to musi dawać tandetę, która go zabija ostatecznie.

Rzemieślnicy jednak usiłują się bronić przed zagładą i potężną konkurencyą przemysłu wielkiego. To też skwapliwie chwycili się jednego ze sposobów obrony: wspólnej narady i wyjaśnienia stanu rzeczy na zjeździe wszechpaństwowym.

Potrzeby te pewna grupa rzemieślników (między nimi i warszawscy) sformułowała na zjeździe w sposób następujący:

1) Uważając, że na polepszenie warunków zbytu wyrobów rzemieślniczych i zakupu materyałów surowych wpływają związki robocze (artele), stowarzyszenia spożywcze, składy spółkowe, towarzystwa, kantory i agentury dla wspólnego zakupu materyałów i narzędzi, tudzież dla sprzedaży wyrobów — komisya specyalna zaproponowała zjazdowi, ażeby wyraził życzenie usunięcia, o ile można formalności przy otwieraniu instytucyj powyższych. 2) Komisya uznając znaczenie praktyczne tworzenia towarzystw kredytowych, kas pożyczkowo-oszczędnościowych, w celu poprawienia warunków zbytu wyrobów i zakupu materyałów, uważa za właściwe rozpowszechnienie wiadomości o tych instytucyach przez wydanie broszury odpowiedniej, prosząc jednocześnie Towarzystwo przemysłu i handlu, aby się zajęło wprowadzeniem w czyn tego życzenia. 3) Po rozpatrzeniu pytania, jakie istnieją sposoby polepszenia roboty rzemieślniczej, komisya uważa za pożądane: *a*) ażeby w miastach większych były urządzane muzea rzemiosł, stanowiące obraz przemysłu rzemieślniczego w danym okręgu, a zarazem zaznajamiające rzemieślników z najnowszymi wynalazkami i odkryciami na polu ich pracy. *b*) Aby miasta i instytucye publiczne tam, gdzie niema zarządów cechowych, wyznaczały stypendya dla czeladników, wyjeżdżających za granicę na naukę rzemiosła. Rzemieślnicy bowiem w tej mierze zasługują na takie same poparcie, jak ze strony instytucyj publicznych doktorzy, malarze i t. d. *c*) Aby urządzane były konkursy i nagrody za wynalazki w dziedzinie sztuki rzemieślniczej i na wyroby wybitniejsze, co niewątpliwie będzie dla rzemieślników bodźcem do ulepszenia sposobów wytwarzania. *d*) Aby również ogłaszano konkursy na dzieła, broszury i podręczniki, mające znaczenie dla rozwoju i udoskonalenia rzemiosł. *e*) Aby wolno było urządzać kluby rzemieślnicze, które jako miejsca zabawy dla rzemieślników, posiadałyby także biblioteki. Można byłoby tam urządzać odczyty publiczne w kwestyach, dotyczących rzemiosł i życia rzemieślniczego. *f*) Aby czeladnikom dawane były oznaki i nagrody za dobrą robotę *g*) Aby cło od rysunków i wzorów, sprowadzanych z zagranicy, było zniżone. *h*) Aby prawo na prowadzenie rzemiosła mieli tylko tacy kupcy, którzy się zapiszą do cechu i przedstawią świadectwa ze znajomości danego rzemiosła.

Jakimi sposobami można ułatwić zbyt wyrobów rzemieślniczych? Towarzystwo rozpowszechniania wiadomości handlowych daje na to pytanie taką odpowiedź: Urządzić biuro specyalne, które przyjmowałoby zamówienia i rozdzielało je między rzemieślnikami. Biuro to za pomocą agentów podróżujących mogłoby rozpowszechniać wyroby rzemieślnicze swego okręgu na terytoryum całego państwa. Wreszcie obowiązkiem biura powinno być ułożenie i wydanie katalogów ilustrowanych, tudzież przedsiębranie innych środków reklamowych.

Co do ułatwienia rzemieślnikom nabywania materyałów surowych i zbytu wyrobów, w osobnym referacie podano następujące wnioski. Wszelką pomoc w tych wypadkach przyniosłoby Towarzystwo kredytowe, albo pożyczkowo-oszczędnościowe, utworzone na zasadzie przepisów z dn. 12 Czerwca 1895 r. o instytucyach kredytu drobnego. Według ustawy towarzystwa takie mają prawo pośrednictwa. Mogłyby one zarazem urządzać stałe systemy próbek różnych produktów, potrzebnych dla rzemieślników. Skład zaś Towarzystwa mógłby się zająć sprzedażą wyrobów. Na zastaw wyrobów Towarzystwo udzielałoby pożyczek rzemieślnikom. P. Borodajewski, autor powyższych wniosków, proponuje wprowadzenie w czyn organizacyi kredytowej na następujących zasadach (według wzmiankowanych powyżej przepisów): W każdem mieście powinno być urządzone Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe lub kredytowe. Różnica między Towarzystwem pożyczkowo-oszczędnościowem a kredytowem jest następująca: 1) Kapitał obrotowy w pierwszem tworzy się z wkładów udziałowych, w drugiem wkładów takich niema wcale, kapitał zaś powstaje z sum ofiarowanych lub pożyczonych. 2) Pierwsze działa bez pomocy agentów Banku państwa, drugie podlega ich dozorowi. 3) Na urządzenie towarzystw kredytowych Bank państwa udziela pożyczek, celem utworzenia kapitału zakładowego. Towarzystwa pożyczkowo - oszczędnościowe nie otrzymują z Banku nic.

Inną postać organizacyi kredytu w miastach dla rzemieślników i drobnych handlarzy zaleca p. Muromcow. Rolę banków i towarzystw narzuca on urzędom miejskim i rzemieślniczym, w powiatach zaś, zarządom ziemskim. Bank państwa udziela tym organom kredytu, jako pośrednikom i poręczycielom. Kredyt w ten sposób dostarczony, powinien być zarówno rzeczowy, jak i osobowy, a nadto — długoterminowy: od roku do trzech lat. Pożyczki roczne mogą być prolongowane, pod warunkiem umarzania częściowego.

Niektórzy członkowie zjazdu przyszli

---

ko wydzierał się z pod stopy pana i krzyczał. Król usiłował go nie puścić, a jednocześnie żywo rozmawiał z arcykapłanem, który okazywał zdumienie. Wreszcie obaj skinęli na Dolora, który otrzymawszy cichy rozkaz, zeszedł ze stopni i rzekł donośnie:

Dolor.

Jego świątobliwość, za zgodą naszego najjaśniejszego pana, chcąc upamiętnić swoją bytność czynem wielkiego miłosierdzia, polecił mi oświadczyć, że skazańcy zostaną ułaskawieni, jeśli w tej chwili odwołają uroczyście wszystkie swe kłamstwa.

Po ciszy przeleciały szepty i zniknęły w niej.

Orlo Mirol, odwołujesz?

Nie odpowiedziała.

A ty, Krysto?

Krysto.

Odwołuję... to, że nie nazywam się Krysto, ale Arjos książę Onto.

Orla szarpnęła się, jak gdyby do niego biedz chciała. Zawołała tylko:

Orla.

Tak, tyś Arjos!

Trybuny szumiały coraz głośniejszą wrzawą, z której wystrzeliwały ciągle nazwisko: Onta. Król i Arcykapłan siedzieli bladzi i nieruchomi. Już zamęt groził wybuchem, gdy na znak dany przez Dolora pomocnicy kata podłożyli osiem pochodni pod stosy. Ogień chwycił się szybko suchego chrustu. Zgiełk na chwilę przycichł. Wtedy stojący nieopodal Krysta i od początku wpatrujący się w niego Lagor wyjął szpadę, oparł ją rękojeścią o kark konia, zwrócił ostrze ku sobie i wbił się na nie piersiami, poczem okrwawiony spadł na ziemię. Zaryczała burza zmieszanych głosów, tłum wydarł się z trybun i chciał biedz ku stosom, ale wojsko go odepchnęło. Król i Arcykapłan opuścili spiesznie swe miejsca i wraz z orszakiem odjechali. W loży pozostał jedynie Koko.

Tymczasem ogień zaczął się wspinać z podesłania ku zwisłym na słupach ciałom, które dym dusił. Zdarłszy z nich odzież, wpił się w nie z dziką pożądliwością i pożerał je nienasycony. A gdy przegryzł sznury, ciała spadły mu w paszczę i zniknęły. Odtąd powoli je trawił.

Tłum, zdrętwiały grozą widoku, ocucił się wreszcie i wyległ z trybun ku popieliskom, oglądał je ciekawie i rozchodził się. Pozostała tylko wokoło nich mała gromadka.

Zapadła noc, a Koko ciągle siedział jeszcze w loży królewskiej i martwym wzrokiem patrzył w miejsce ofiary, dymiące się ostatniemi westchnieniami zamierającego ognia. Dojrzał on kilka ludzkich cieniów, które przysunęły się do słupów, nagarnęły z pod nich popiołów w naczynia i oddaliły się. Chciał pobiedz za nimi, ale w tej chwili uderzyła na niego z góry wielka jasność: podniósł oczy i spostrzegł na tle nieba dwa świetliste duchy, które płynęły wolno w dal świata. Wyciągnął do nich sieroce ręce, zalał się łzami i poszedł ku zamkowi. Właśnie z kopuły nad sypialnią królewską zabrzmiała muzyka, unosząca do Boga pobożną duszę zasypiającego monarchy.

KONIEC CZĘŚCI CZWARTEJ.

do przekonania, że główną podstawą należytego rozwoju kredytu drobnego mogłyby być kwoty, składane do kas oszczędności.

Zen. Piet.

Z NIEMIEC

Berlin, 10 kwietnia.

Goethe jako chorąży zbuntowanych literatów i jako patron Akademii berlińskiej.— Losy konkursu imienia Schillera.

Dwukrotnie wywoływano w zeszłym miesiącu z pól Elizejskich cień Goethego. Pierwszy raz uczyniła to zbuntowana drużyna Apellesa i Apollina, obierając Goethego chorążym pospolitego ruszenia artystycznego, po raz drugi fatygował nieboszczyka sam rząd, składając w jego ręce patronat i kierownictwo berlińskiej Akademii umiejętności. Zarówno pierwszy jak drugi wybór wydaje mi się wielce niefortunnym. Czy w istocie twórca „Fausta" nadaje się na protektora „Związku imienia Goethego," założonego w celu obrony sztuki przeciwko *lex Heintze?* Cóż to za widok: olimpijczyk Goethe w obozie powstańczym, poeta, który przez całe życie był tylko Gustawem (a przez jedną tylko chwilę Konradem). Podczas pamiętnego zakończenia XVIII w. Goethe badał czaszki baranie, w burzliwym 1831 r. wytrącił go z równowagi huragan w... paryskiej akademii nauk: Cuvier spierał się z Geoffroy St. Hilairem o hipotezę powstania gatunków. Wiemy wreszcie najdokładniej, iż Goethe zginał dość elastycznie kark swój, nie przymierzając jak pierwszy lepszy ówczesny dworak weimarski — słowem, nie mogę sobie wyobrazić Goethego na czele rokoszan nawet w tym wypadku, gdy rokosz wywołany został przez *lex Heintze*. A gdyby Goethe mógł przyjrzeć się przebiegowi pierwszego zebrania nowopowstałego związku, z pewnością zrzekłby się zaszczytnej godności wodza. Każde słowo, wychodzące z ust mówców, było uderzeniem chłosty, spadającej ze świstem na barbarzyńskie centrum i chwiejnych ministrów, co radziby nie splamić swego nazwiska w sprawie nakładania pęt na sztukę, a jednak pragnęliby za zgodą centrum przesunąć przez sejm rzeszy wielce nieumiarkowaną ustawę marynarkową. O, jakżeby ubolewał Goethe nad tem, że jego bracia, dotychczas obojętni względem polityki, odrazu niby furye radykalne, podnoszą gwałt i larum, wychwalają solidarność i organizacyę i wyśmiewają byłego prezydenta policyi, który swe zakazy sztuk scenicznych motywował naiwnie mówiąc: „Cały ten kierunek literacki nie podoba mi się." Na domiar złego założyciele wspomnianego związku składają się z samych Geheimrathów i wysokich urzędników, jak np. ekscelencya Mommsen, nadworny malarz Menzel, słynny historyk literatury Eryk Szmidt, nasz „przyjaciel" Delbrück, polihistor prawa Kohler, twórca pomnika „narodowego" Begas, prezydent akademii sztuk pięknych Ende itd. Nie są to „krzykacze," którym zarzucało centrum, iż nie wiedzą, co czynią, ani cyganerya artystyczna, łaknąca silnych wrażeń. Pomyślcie tylko, że z ostrą filipiką wystąpił nawet wspomniany koryfeusz prawa Kohler, potulna owieczka przekonaniowa. To wszystko świadczy, iż sfery prawodawcze przebrały miarę i że trzeba będzie, wbrew modzie gęstych woalek, udoskonalonych gorsetów i podwójnych lub potrójnych spódnic, pozwolić nimfom i dryadom zachować swój strój przyrodzony. Jeszcze bardziej sprzeczną jest z duchem Goethego inna nominacya, a mianowicie narzucone mu przez rząd pruski stanowisko kierownika berlińskiej Akademii umiejętności z okazyi obchodu dwóchsetnej rocznicy od jej założenia. W uroczystej mowie wytknięto Akademii, jako najbardziej zgodny z duchem Goethego, temat badań: „wykazanie udziału Boga w sprawach ludzkich." Ośmielam się mniemać, że i tu zaszło dziwne *qui pro quo*. Twórca „Prometeusza," pomimo głęboko religijnej natury, był co najmniej bezwyznaniowcem. Korząc się przed przyrodą i bóstwem panteistycznem, nie mógł nigdy zrozumieć Boga osobistego, zresztą liczne ustępy z „Fausta," z jego rozmów z Ackermannem i korespondencyj nie kwalifikują go na obrońcę wyłożonego wyżej programu. Czy Akademia będzie kroczyła podług wzniosłonego dla niej drogowskazu, pokaże przyszłość: dotychczas nie mogła ona tego uczynić z bardzo zrozumiałych powodów: wszelkie przekonania były dla niej zbytkiem zakazanym. Instytucya ta powstała dzięki kaprysowi Fryderyka I. Władca ten, naśladując we wszystkiem Ludwika XIV, zaprowadził u dworu metresy, a zarazem założył Akademię. Fryderyk Wilhelm I, „król żołnierzy," zamierzał zniszczyć zabawkę poprzednika: zmienił jednak swe postanowienie gdy mu dowiedziono, iż Akademia potrafi wychowywać chirurgów wojennych. Budżet Akademii wszakże kazał zamieścić pod rubryką: „dla królewskich błaznów (Narren)." Za Fryderyka „Wielkiego" (lucus a non lucendo!) Akademia znowuż cieszyła się łaską, jako „naukowa gwardya przyboczna." Maupertuis otrzymał zlecenie przekształcenia instytucyi, przyczem członkom jej kazano zajmować się tylko fizyką, matematyką, filozofią i filologią. Prawo i polityka zostały wyraźnie wykluczone z obrębu studyów. Przedstawiciele ówczesnego okresu oświecenia czuli tak dalece wzgardę dla Akademii, iż trzydziestoletni Lessing, powołany na jej członka, nie przyjął „zaszczytu." Dobrze również charakteryzuje Akademię stosunek jej do Voltaire'a. Gdy pewien uczony holenderski wykrył malonką omyłkę w wywodach matematycznych wspomnianego jej prezydenta Maupertuis, ogłosiła śmiałka bezczelnym fałszerzem. Voltaire zaprotestował przeciwko temu, lecz chcąc uniknąć nieprzyjemności, opuścił pospiesznie Prusy, poczem kat spalił publicznie, na rozkaz Wielkiego Fryderyka, prace bluźniercze Voltaire'a, skierowane przeciw Akademii. Zbytecznem jest wspominać o tem, iż Akademia berlińska wystrzegała się poufałych stosunków z ludźmi podejrzanej prawomyślności. Tak np. Hegel i Fichte nie dostąpili zaszczytu należenia do jej grona. Zasługi Akademii berlińskiej są przeważnie natury wydawniczej, tak np. ogłasza ona obecnie, pod redakcyą Diltheya, zbiorowe dzieła Kantu, a pod redakcyą Diehlsa — dzieła Arystotelesa. Nazwiska wydawców, zwłaszcza ostatnie, pozwalają przypuszczać, że wydawnictwo dzieł najgenialniejszego filologa starożytności można będzie zaliczyć do epokowych.

Trzeba oddać sprawiedliwość rządowi pruskiemu, iż niegdyś szczerze zamierzał zaimponować światu swą ogładą cywilizacyjną i gorliwą uprawą sztuki oraz wiedzy. Gdy w połowie tego stulecia narodził się prąd, dążący do zrzeszenia luźnych państewek niemieckich w potężną całość pod opieką pięści pruskiej, gdy władcy południowi nie zgadzali się stopić swych kultur w amalgamacie pruskim, wtedy Prusacy ślubowali przed światem, iż podbiją niewiernych Tomaszów „tryumfami ducha." Dotychczas państwo pruskie nie dotrzymało przysięgi, a najgorsze świadectwo ubóstwa wystawiają Prusom losy rządowego konkursu dramatycznego imienia Schillera. Konkurs ten rozstrzygany bywa co trzy lata, a nagroda za najlepszy dramat wynosi 6,800 marek, nie licząc medalu pamiątkowego. Przyjrzyjmy się trzem ostatnim konkursom. W r. 1893 komitet konkursowy z Treitschkem na czele wyznaczył pierwszą nagrodę Lud. Fuldzie za jego „Talizman," baśń dramatyczną, osnutą na tle znanej bajki Andersena o królu i pochlebcach. Rząd skasował wyrok komitetu. W r. 1896 sędziowie postanowili podzielić pierwszą nagrodę pomiędzy Hauptmanna, autora uroczej „Hanusi," i Wildenbrucha, jako twórcy dramatu, opiewającego cnoty rycerzy teutońskich. Do grona komitetu należeli między innymi: filozof Dilthey, słynny historyk literatury Enik Schmidt, prezes teatrów cesarskich, słowem powagi pierwszorzędne. Rząd przeszedł nad tym wyrokiem do porządku dziennego i uwieńczył własnoręcznie barda Wildenbrucha. Po ogłoszeniu tego *sic volo sic jubeo* kilku sędziów złożyło mandaty. W r. 1899 przypadł nowy konkurs. Sędziowie bez namysłu przedstawili do nagrody „Dzwon zatopiony" Hauptmanna. Wyrok ten wszakże został zniesiony jednem pociągnięciem pióra. Niedoszli laureaci pocieszają się słowami Mojżesza Mendelsona, wyrzeczonemi w chwili, gdy Fryderyk II odrzucił wniosek, zaliczający go w poczet członków berlińskiej Akademii umiejętności: „Większy to zaszczyt dla mnie, że Akademia postawiła moją kandydaturę, a król Fryderyk ją odrzucił, niż gdyby było odwrotnie." Rząd, według zapewnień wtajemniczonych, jest wielce rozgoryczony tem, że sędziowie konkursu dramatycznego nie przyznali pierwszej nagrody pułkownikowi Laufowi, twórcy dramatów wojennych, przedstawiających mustry, rewie, bitwy, obozy, pojedynki, zabójstwa itp. urocze rzeczy. Zaiste, w czasach projektów marynarkowych, komitet, ignorując Laufa, złożył karygodny dowód braku patryotyzmu urzędowego. A szkoda!

H. F.

IDEAŁ DOBRA

ze stanowiska hygieny ciała i duszy.

I.

Nocą letnią, pogodną, zdala od zgiełku miasta, podnieśmy oczy nasze ku niebu i pośród ciszy głębokiej i po przez mrok nocy wpatrujmy się długo, długo w gwiazd złotych ciżbę, w te nieskończone światów zastępy, w tę wijącą się niby droga świetlna drogę mleczną, której gwiazd moc wielka sprawia wrażenie złocistej mgławicy...

Tyle światów! Tyle światów! Taka niepojęta dla nas nieskończoność przestrzeni! Bo i wyobraźmy sobie, że posiedliśmy skrzydła niestrudzone i biegniemy w przestrzeń coraz dalej, coraz dalej; czyż u krańców bytu jakakolwiek powstrzyma nas zapora? Jeśli tak, to jest też jeszcze przestrzeń z jakimś bytem, który nam właśnie lot zasłania, jeśli nie, więc jest przestrzeń nieskończona i lecieć moglibyśmy naprzód, ciągle naprzód przez czasu nieskończoność! Choćbyśmy sobie próżnię wyobrazili, nie możemy pojąć braku przestrzeni. A śród tej przestrzeni taka wielość nieograniczona bytów wiecznych tylko przemiennych bez wytchnienia z przeszłości bezdennej, przez nikłą linię teraźniejszości w przyszłość bezszczytową.

Widzimy jedne gwiazdy większe, inne mniejsze, jeszcze mniejsze, widzimy wyraźnie, że gwiazdy te nie na jednej rozmieszczone są płaszczyźnie, ale jedne bliżej nas, inne dalej, głębiej, jeszcze głębiej w przestworach przestrzeni. Wiemy, że te

odległości, które nam się mierzyć zdają stopy lub metry, mierzą w istocie miliony mil. Co za ogrom, nieskończony, niewyobrażalny, niepojęty!

Gdy wzrok nasz wreszcie oderwiemy od nieba i rozejrzymy się wokół siebie i spojrzymy w samych siebie, czem, wobec ogromu tego, wyda się nam ta maluczka ziemia nasza, a na tej ziemi — czem długość żywota naszego? A w tem mgnieniu naszego życia czem są troski nasze, radości, pragnienia, zawody, zwycięstwa?!

Tą wielkością stworzenia i tą naszą miłością, grozą otaczającej nas nieprzeniknionej tajemnicy, samą świadomością, że istnieje po za nami taki niepojęty ogrom, jesteśmy głęboko, do łez niemal wzruszeni. Czujemy, że czemś, co chyba jest cząstką czegoś najpotężniejszego w tym świata ogromie, duchem naszym obejmujemy z tą nieskończonością, obcujemy o tyle przynajmniej, że pojmujemy istnienie czegoś niepojętego, przeczuwamy, iż to, co dla nas jest niepojętem, może być przez coś innego pojętem. Czujemy tę najwyższą dostojność naszą, która daje nam możność zapytać: Co to jest? Jak to jest? Ku czemu to zmierza? Najwyższą dumą naszą, jedyną cechą naszej najwyższości na tej ziemi jest to, że rozumiemy istnienie jakiejś zupełnej *prawdy* i że my jej nigdy, nigdy nie poznamy, tylko do poznania jej zbliżać się możemy, tj. że dano nam kroczyć ku niej, jak nam dano w kierunku słońca na skłonie nieba jaśniejącego kroczyć. Zmierzamy też ku niej przez bezgraniczne puszcze tajemnic, szukamy jej, coś w nas tkwi, co prze nas ku poznaniu prawdy, a gdy parcie to jest przyrodzoną koniecznością bytu naszego, musi przez to samo być warunkiem pomyślnym naszego bytu i rozwoju.

I jest zaiste wielki ideał prawdy czynnikiem doniosłym w sprawie zdrowia ducha i ciała. Poszukiwaniem prawdy, zdobywaniem jej, że tak rzekę, w wielkim stylu, zajmuje się wprawdzie tylko drobny odłam ludzkości, ale któż zaprzeczy, że szczupły ten zastęp potężnej dla całości jest wagi, on jest wyrazem geniuszu ludzkości, on ją całą prowadzi po drodze dziejowej, błędy jego cofają ludzkość w pochodzie, jego natchnienia prawdziwe dźwigają ją całą ku wyżynom cywilizacyi i kultury, niestrudzonym jego zabiegiem jest rozdzieranie tajemnic pokrywających istotę zjawisk przyrody, objawów życia, objawów ducha ludzkiego.

Zapytajmy odrazu, czem dążenie do prawdy, niezależnie od owoców, które prawdy zdobyte przynoszą z sobą, działać może dodatnio lub ujemnie na zdrowie naszego ciała i ducha? 1) Dążenie do prawdy wywołuje w nas *pracę myśli*, która sprzężoną jest z pracą mózgu. Dowiedzionym jest faktem, że czynności każdego organu, nieprzechodzące pewnych granic, wpływa pomyślnie na jego sprawy odżywcze, że odporność i dzielność ustroju całego zyskuje, gdy wszystkie nasze narządy spełniają właściwe im czynność, jeżeli tedy posiadamy *władzę myślenia* — bezczynność tej władzy nie może być dla ustroju pożyteczną. W mózguześrodkowują się mechanizmy, wpływające na sprawy odżywcze całego ustroju, praca więc tego organu w zakresie intelektualnym musi się przyczyniać do harmonijnego normowania wszystkich jego funkcyj, a więc i funkcyj odżywczych ustroju całego. 2) Dążenie do prawdy wiąże się z pewnemi *wzruszeniami*, które jako takie, oddziaływają pomyślnie na zdrowie, gdy są przyjemnemi, szkodliwie—gdy są przykremi. O takim wpływie wzruszeń na stan zdrowia już mówiliśmy na innem miejscu *).

Wzruszenia, z któremi się ściśle wiąże dążenie do prawdy, są następujące: 1) żądza poznania, zaciekawienie; 2) napięcie szukania; 3) oczekiwanie, nadzieja poznania; 4) przykre uczucie napotykanych trudności; 5) rozczarowanie z poszukiwań niedanych; 6) zachwyt zwycięztwa, 7) nasycenie zrozumienia; 8) niepokój wątpienia i niepewności, 9) poczucie bezsilności.

3) Dążenie do prawdy wiązać się może z pewnymi warunkami zewnętrznymi, które pożytecznie lub szkodliwie oddziaływać mogą na zdrowie ustroju.

Otóż dążenie do poznania, odbywające się w warunkach nieprzeciążania umysłu czy to pod względem natężenia myśli, czy zbyt przeciągłej bez odpowiednich odpoczynków pracy, dalej w warunkach wywołujących w nas wzruszenia przyjemne, a wreszcie usuwających nas od wpływów szkodliwych zewnętrznych— będzie z punktu widzenia hygieny ciała i duszy dla nas pożytecznem.

Sama *żądza* poznania, *ciekawość* prawdy -- mówimy w tej chwili o prawdzie w nauce — jest wzruszeniem podniecającem dodatnio, przysparza ono energii układowi nerwowemu, a więc i wszystkim od układu tego zależnym czynnościom ustroju, jak: krążenie krwi, przemiana materyi itd. Wzruszenie to staje się natomiast szkodliwem, gdy przechodzi w stan gorączkowy i rozsądkiem niehamowaną namiętność. Żądza poznania wywołuje napięcie szukania. Napięcie to może być szkodliwem przez sam nadmiar pracy umysłowej, przez zbyt wytężoną pracę rozumu, zaciekającego się w nazbyt zawikłane zagadnienia matematyczne, nazbyt subtelne spekulacye filozoficzne, zagadki mechaniczne itp. Nadto głębokie, nadto skupione myślenie, a przytem bez odpowiednich odpoczynków, przedstawia niemałe niebezpieczeństwo w pierwszym rzędzie dla samego przyrządu myślenia, tj. mozgu. Dzieje nauki wykazują nam niejedną ofiarę, która zbyt namiętne uderzanie taranem myśli badawczej w nieskruszone opoki tajemnic przypłaciła zwichnieniem równowagi umysłowej. Najbardziej sprzyjającym warunkiem tak smutnego wyniku pogoni za ideałem prawdy jest t. zw. donkiszoterya w nauce.

Jak wszystkie czynności ustroju posiadają mechanizmy regulujące, tak też i czynność umysłowa. Błogosławionym czynnikiem tym, chroniącym narząd myślowy od nadmiernego wyczerpania, jest *świadomość zmęczenia*: Ludzie z wielkiem natężeniem umysłu pracujący, czują potrzebę odpoczynku i łatwo bardzo wpadają w głęboki, krzepiący sen. Tylko sztuczne i uporczywe podniecanie myśli do pracy może zwalczać naturalną potrzebę odpoczynku i snu, a zwalczanie takie jest najniebezpieczniejszym dla sprawności mózgu czynnikiem.

Dojrzały umysł ludzki zdołał stworzyć dla badania tajemnic i zdobywania prawd w najrozmaitszych dziedzinach bytu olbrzymie ułatwienia, które stanowią to, co nazywamy *metodą*. I naprawdę dzięki *metodom* umysł ludzki jest dzisiaj w możności ogrom prawd zdobywać przy stosunkowo małem natężeniu swej pracy. Powiadamy: przy *stosunkowo* małem. Trochę intuicyi, pewna zdolność dedukcyjna pozwala często, przy dobrem znawstwie metod, zdobywać poważne prawdy naukowe. Też same zdolności pozwalają zmieniać nieco znane już metody, przez co rozszerza się znacznie łatwość nowych zdobyczy. Stwarzanie nowych metod wymaga bezwątpienia większego natężenia myśli, jakkolwiek i tu wynalazczość, intuicya bez wytężenia umysłu ważną często gra rolę. Tego napięcia umysłu, jakiem posiłkować się musieli znakomici uprawiacze np. filozofii transcendentalnej, w dzisiejszym rozwoju nauki nie potrzeba dla zasłużenia sobie słusznego zresztą miana pioniera nauki. Odnosi się to zwłaszcza do nauk przyrodniczych i do tych wszystkich pierwszorzędnego znaczenia prawd, do których dochodzi się metodą indukcyjną. Mikroskop, analiza chemiczna, doświadczenia fizyologiczne, fizyczne, teleskop ułatwiają w zadziwiający sposób umysłowi ludzkiemu zdobywanie prawd. Historya, archeologia, lingwistyka, antropologia i nauki społeczne w znacznej też części posługują się metodą indukcyjną. A to, co we wszystkich naukach stanowi najważniejszą siłę zdobywczą, *pomysłowość* mianowicie, której miara wysoka jest właściwością geniuszu, nie tyle jest natężoną i wysoce napiętą pracą umysłu, ile raczej bezwiedną do trafnych dedukcyj zdolnością ducha. Z tych to względów wzniosła i pożyteczna a rozumna pogoń za prawdą nie naraża umysłu ludzkiego na niebezpieczeństwo uwarunkowane nadmiernem wytężeniem myśli.

Naraża natomiast w wysokim stopniu na takie niebezpieczeństwa pogoń nierozumna, czyli jak się wyraziłem, donkiszoterya naukowa. Oto ludzie, którzy bez odpowiedniego przygotowania, bez znawstwa metod kuszą się o zdobycie płomienia Prometeuszowego, łacno, jak ów legendowy Prometeusz, padają ofiarami aspiracyj, do których nie dorośli.

Ważnym czynnikiem szkodliwości lub pożyteczności dążenia do prawdy jest *motyw*, którym powodujemy się, szukając jej.

Normalnym i najzdrowszym motywem walki o prawdę jest przedewszystkiem czysta, podniosła, bezinteresowna miłość prawdy, ale i ta jeszcze uwarunkowaną być winna przedewszystkiem miłością ludzkości. Ktokolwiek zapisuje się w szeregi zdobywców prawdy, powinien pamiętać o tem: że ideał prawdy ma być glebą, na której bujnie ma wyrastać ideał dobra. Inaczej wznoszenie się pracowite i mozolne do wyżyn prawdy byłoby tylko bezowocną budową wieży Babel. Motyw miłości, pobudzający do pragnienia prawdy, wzbogaca wzruszenie zainteresowania się prawdą i jej osiągnięcia, podniosłem wzruszeniem spełniania obowiązku względem społeczeństwa. Poczucie, że owocem pracy naszej zdobywania prawdy jest pożytek powszechny — jest wzruszeniem dodatniem, które ze swej strony wpływa dodatnio podniecająco na fizyologiczną stronę organizmu. Najwznioślej drgającą struną w miłości ojczyzny, to pragnienie, aby kraj rodzinny najdzielniej się przyczyniał do rozwoju najpiękniejszych dążności ogólno-ludzkich: w tym jednym kierunku współubieganie się o pierwszeństwo jest właściwą ludzkości walką ludów. Duma z kwitnącego geniuszu narodowego, to najszlachetniejsza, to najzdrowsza duma. A jeżeli upaja się dumą naród, że do powszechnej skarbnicy piękna, w dziedzinie sztuki przynieść może swoją objatę, to o ile dumniejszem być może prawo, gdy składa do skarbnicy wiedzy doniosłe jakością lub wielością zdobycze prawdy. Bo jakkolwiek odnośnie do potrzeb ludzkich niełatwo sąd wydawać o większej lub mniejszej wadze danej potrzeby, gdy fizyczne są równie ważne, jak duchowe, a niektóre, jakkolwiek banalne, również niezbędne, jak najdonioślejsze, niemniej wobec trzech wielkich ideałów ducha ludzkiego: piękna, prawdy i dobra — jeśli na pierwszem miejscu postawić należy ideał dobra, to równie słusznie ideał prawdy postawić należy po nad ideał piękna. Przeświadczenie tedy, że pracując dla rozwoju wiedzy, pomnażamy sławę narodową, podnosimy znaczenie kraju rodzinnego, jest nowem wzruszeniem, ze stanowiska hygieny ciała i duszy dodatnim i to niezależnie od wzruszeń dodatnich, płynących z samego poszukiwania prawdy. Czar i szlachectwo prawdy posiada jeszcze tę wielką potęgę, że tych, którzy ją miłują, dziwnie z sobą brata, i ta wspólność czci tak jednoczy, tak dzielnym wzajemnej mi-

*) „O wpływie czynności duchowych na sprawy chorobowe."

łości staje się zaczynem, że i tą drogą, pomijając mnożenie dobra, budzi wzruszenia dodatnio wpływające na duszę i ciało.

(C. d. n.)

Dr. H. Nusbaum.



LIBERUM VETO.

Dobra zaraza.

Niejednego zapewne z czytelników zastanowiło to, że powieść Tolstoja „Zmartwychwstanie" wyszła współcześnie w dwóch przekładach polskich. Wypadki bowiem takie zdarzają się u nas bardzo rzadko — a nawet nietylko u nas. Cóż więc było przyczyną tego wyjątkowego pochopu? Na to pytanie odpowiedział już pośrednio swem sprawozdaniem w *Prawdzie* p. Stempowski; wszakże objawiły się pewne skutki wpływu tej powieści, nad którymi osobno zastanowić się warto, zwłaszcza że ona zyskuje coraz szersze koła czytelników i że porusza je głęboko.

Opinia nasza oddawna najważniejsze kwestye i najgruntowniej rozbioru nie w prasie, lecz w zebraniach towarzyskich: jej główne fale przepływają przez salony, suterény, strychy, a nie przez forum. Tam wytryskuje gwałtownie, bucha, pieni się i burzy, tu sączy się zwykle spokojnym i płytkim strumieniem. Otóż „Zmartwychwstanie" gotuje się obecnie w bardzo gorących rozmowach towarzyskich. Śród sprzecznych o niem sądów najczęściej usłyszeć można zdanie:

— Bardzo to wzniosła mrzonka, ale mrzonka. Żaden wytworny uwodziciel prostej dziewczyny, chociażby jak najbardziej żałował swego postępku, nie pójdzie za nią do więzień i ciężkich robót z prośbą o przebaczenie, nie zechce jej poślubić, nie wyrzecze się dla niej całego dotychczasowego życia, słowem, nie skaże się dobrowolnie na tak okrutną pokutę, jak Niechludów. Tolstoj stawia wzór, którego nikt naśladować nie będzie, który zatem nie posiada praktyczno-moralnej wartości.

Całe to rozumowanie jest słuszne — z wyjątkiem ostatniego wniosku.

Ze wszystkich rad i napomnień etyki ewangelicznej chyba najwięcej kłopotu jej wyznawcom i rzecznikom sprawiało znane wyrzeczenie: jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy. Jak czynili w takich razach pierwotni chrześcianie — nie wiemy, ale wiemy, że dziś nikt nie zdobyłby się na podobną pokorę. Najpobożniejszy Europejczyk, uderzony w twarz, nie nadstawiłby drugiego policzka, lecz upomniałby się o swoją krzywdę a co najmniej odczułby ją boleśnie. Więc owo żądanie jest niedorzecznem i bezcelowem? Nie, sądzę nawet, że ono powtarzane w ciągu wieków oddziałało na szczerych chrześcian — bardzo głęboko. Bo zauważyć należy, iż siłę wpływu wszelkiej nauki życia mierzyć trzeba obecnością jej pierwiastków w uczuciach, zasadach i dążeniach ludzi, a nie ścisłą zgodnością ich czynów z jej regułami i wzorami. Maksyma o policzku jest tylko najjaskrawszem, ale wcale nie jedynie omijanem zaleceniem katechizmu. Czyż najgłówniejsze z przykazań: kochaj bliźniego jak siebie samego — jest często spełnianem? Spojrzyjcie w siebie i koło siebie — blizko, daleko, najdalej — i odpowiedźcie szczerze: ilu znacie takich, którzy kochają bliźnich, jak siebie samych? Może nikogo? Pójdźmy w pytaniu dalej: ilu znacie takich, którzy w każdym wypadku naśladują Chrystusa, pomimo że odczytują książkę Tomasza a Kempis? Może również nikogo? Może po najstaranniejszem zbadaniu historyi chrześciaństwa nie znaleźlibyśmy ani jednego człowieka, któryby żył ściśle w duchu Chrystusowym? Ale gdyby nawet tak było, gdyby w ciągu 19 stuleci nie zdarzyła się istota ludzka, o której by Jezus rzekł: on ze mnie! — czyż to by nas upoważniło do twierdzenia, że wielkie Słońce cywilizacyi, które rozbłysło w Nazarecie, daremnie przyświecało i przyświeca dotąd ludzkości, że nie oddziałało na jej życie? Bynajmniej, bo jego promienie przeniknęły nawskroś ducha tysięcy pokoleń, na które padły.

Zszedłszy niżej, dostrzeżemy to samo zjawisko w zmniejszonej mierze. Fakt, że jakaś książka przedstawia nam reguły i rzeczy, których nikt nie wypełnia i nie naśladuje, że ona daje życiu formy, według których ono natychmiast się nie urabia, ten fakt nie orzeka ani o jej wartości, ani o jej wpływie. Reformatorskie bowiem znaczenie idei lub teoryi polega nie na szybkiem przekształceniu czynów ludzkich, lecz na powolnem przetwarzaniu pobudek woli i podstaw myśli, na zwracaniu pragnień i dążeń w odmiennym kierunku. Ażeby drzewo wydało szlachetny owoc, musi mieć odpowiednio zmienioną budowę wewnętrzną; ażeby proch wybuchał, musi być odpowiednio przygotowanem ciałem, ażeby człowiek coś wyznawał, coś czuł, coś czynił, musi być odpowiednio wykształconym duchem. Sama niewątpliwość i oczywistość pewnej prawdy nie rozstrzyga o jej wszczepieniu się w umysł człowieka. Ludzkość musiała przejść długą drogę rozwoju, zanim *mogła* zrozumieć i przyjąć tabliczkę mnożenia. Gdy pewien podróżnik zaczął wypytywać (jeżeli się nie mylę) Botokudów o nazwy liczb wyższych nad 3, dyktowali mu wymysły, które on w naiwności starannie zapisywał: oni bowiem uważali za śmieszne jego pytania, on zaś nie przypuszczał, żeby nie mieli pojęcia o czterech lub pięciu. Dotąd jeszcze istnieją ludy, których Dickstein nie nauczyłby pamiętać, że 7 razy 9=63, ani Kramsztyk nie przekonałby ich, że ciała spadają skutkiem siły przyciągania. Ileż to razy w publicznej pracy nauczycielskiej ogarnie nas smutek, zniechęcenie lub rozpacz, gdy widzimy bezpłodność naszych usiłowań w rozpowszechnieniu jasnej, niewątpliwej prawdy; wtedy oskarżamy społeczeństwo o zatwardziały upór, a tymczasem ono znajduje się w położeniu Botokudów niezdolnych zrozumieć potrzeby i możności liczenia po nad 3. Zdaje nam się, że dosyć wygłosić i uzasadnić jakąś formułę postępowania, ażeby wszyscy natychmiast dostroili do niej swe czyny. Gdyby kocioł fabryczny posiadał świadomość i gdybyśmy mu kazali zamiast pary wpuszczać w rury maszyny olejek różany, odrzekłby niezawodnie: nie mogę — ja mam w sobie tylko wodę... Podobnie człowiek... Chociaż wielostronniejszy w przemianie swych działań od kotła, ma on również w nich swoje granice, których odrazu nie przekroczy. Trzeba go także przerobić...

Najwrażliwszy czytelnik powieści Tolstoja nie wstąpi w ślady Niechludowa: uwiódłszy prostą dziewczynę, nie uczuje w swem sumieniu strasznego bólu i chęci zmazania winy bezmierną ofiarą, nie będzie upadłej przez niego prostytutki błagał o przebaczenie, nie wydrze aż do ostatniego korzonka ze swej duszy dawnych upodobań i pragnień i nie zasadzi w nich idealnego krzewu bezwzględnej miłości bliźniego. Ale iluż czytelników tego utworu spojrzy i ciągle patrzeć będzie na te same przedmioty i sprawy z zupełnie innej strony; ilu umysłom otworzy ona całkiem nowy widnokrąg a uczuciom nada odmienny kierunek! Żaden utwór literacki nie przerobi ludzi; są wszakże takie, które ich pobudzają do przetwarzania się. W świecie owadów jest jeden, który nakłuwa szkodliwe gąsienice i składa w nich jajeczka. Z początku nadziane robaki wyglądają zdrowo i nie zdradzają niczem tkwiącego w nich zarodka śmierci; pomału nabrzmiewają, pękają i giną, wydając z siebie potomstwo zabójcy. Tak dzieje się z ludźmi, w których dusze autor złożył nasiona jakiejś płodnej idei. Powoli ona je stoczy i kosztem ich żywota rozmnoży się. Kto obniża wartość dzieła sztuki dowodzeniem, że ono zaleca ideały niemożliwe do urzeczywistnienia, ten błędnie pojmuje zadanie mesyanizmu reformatorów. Geniusz nie jest szklarzem, któryby z dusz ludzkich wyjmował stare szyby i wstawiał nowe, przejrzyste; on jest tytanem, który daje ludziom na wychowanie swe dzieci. Dopóki one są małe, przybrani rodzice patrzą na nie wyniośle, pobłażliwie lub surowo; ale gdy kolosy wyrosną do swej właściwej miary—korzą się przed ich ogromem. Orły, przebywające na szczytach Olimpu, naśladują kukułki: składają swe jaja w gniazdach drobnych ptaków, które je wysiadują, karmią wylęgłe pisklęta i oswoiwszy się z niemi, uważają je w końcu za swe własne potomstwo. Niech geniusz płodzi wielkie idee — ludzkość będzie ich piastunką.

W „Zmartwychwstaniu" tkwi obfite źródło dobrej zarazy, która dziś już rozlewa się z niego po całej Europie. W twarde, stężałe dusze ludzi dojrzałych nie wciśnie się ona głęboko, ale w młode, wrażliwe przesiąknie łatwo. I to jest najbardziej pożądanem. Wiek nasz doczekał się przed zgonem miłego i pocieszającego widoku młodzieży, która uczuła odrazę do zabójczych wyziewów zgnilizny życia i zapragnęła wychować swe dusze w czystości moralnej. Powieść Tolstoja ozonuje jej powietrze, da jej piersiom zdrowy oddech a serca napełni szlachetnemi wzruszeniami. Z tego utworu przemawia do niej spokojny radykalizm prawości, który nie zna zboczeń, ustępstw, wahań, układów. Przesuwa on się przez stosunki życia jak ostry nóż, który pokonywa wszelki opór przeszkody na drodze swego biegu i chociaż sprawia ból — ratuje zdrowie.

Czy Tolstoj ze swoim mesyanizmem jest prorokiem wołającym na puszczy, którego świat zamyka się w granicach jego własnej duszy? Czy on stoi jak samotny drogowskaz na pokrzyżowanych drogach? Bynajmniej. Pomimo całej swej oryginalności jest on tylko jedną z sił w tej wielkiej baśni, w której czas teraźniejszy wykuwa wzory przyszłości.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Wilhelm Bogusławski: *Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej od połowy XIII wieku.* Dzieło uwieńczone na konkursie Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, z funduszu ś. p. Brejtkrajcza. Poznań, nakładem autora, tomów cztery, 1887—1900.

II.

Możnaby niezawodnie całą tę swewską i wenedyjską genealogię Słowian zachodnich, lechicko-czeskich, łużyckich, obotryckich, lutyckich, pomorzańskich, wywrócić do góry nogami i wrzucić do tego samego kosza, w którym Wojciechowski zmieścił wszystkie inne lub podobne słowiańskie genealogie poprzedników Bogusławskiego. Kto się nie zajmuje etnografią starożytną — pisze Woj-

ciechowski — ten z trudnością pojmie, jaka do dziś dnia zachodzi niepewność i niezgoda między pierwszorzędnymi badaczami w kwestyi pochodzenia i przeszłości głównych narodów europejskich i jak żywe spory toczą się między stronnikami Iberów, Keltów, Germanów, Finów, Scytów, Sarmatów, Traków, Pelazgów itd. W sprawie pochodzenia Słowian wyliczyć można przeszło 20 prób rodowodów etnograficznych. Wywodzili nas: Majewski od Indów: Ossoliński, Ritter — od Budynów; Hartknoch, Kleczowski, Czajkowski, Bergman — od Scytów; Jan Potocki, F. Michałowski, Obermüller — od Keltów, Schlötzer *1 voto* — od Ilirów; Maciejowski — od Swewów; Szombera — od Swewów i Sarmatów; Schreiter, Grimm — od od Sarmatów; Mannert — od Sarmatów i Scytów; Karamzin, Dankowski, Lelewel *1 voto* — od Geto - Daków; Grzegorz z Sanoka, Gebhardi, Szafarzyk *2 voto* od Wenedów; Naruszewicz, Murraj, Szafarzyk *1 voto* od Wenedów i Sarmatów; Krantz — od Wandalów: Dobrowski *2 voto* i mnóstwo Niemców — od huńskich sprzymierzeńców Attyli itp... A przecież wszyscy ci badacze mieli jeden tylko i ten sam materyał wiadomości źródłowych, złożony z kilkudziesięciu luźnych wzmianek historycznych i geograficznych, podanych przez pisarzy starożytnych!... A jaka bywa interpretacya źródeł, dość zaznaczyć, że Maciejowski np. czyni ze Swewów „federacyę“ ludów niemieckich i słowiańskich, żyjących z sobą w najlepszej „harmonii“ i mających nawet „nabożeństwa wspólne,“ pomimo, że odkąd znamy Niemców i Słowian szczepy te nieustannie wojowały i tępiły się nawzajem. Przytem, co za swada i żartkość w polemice! Bielowski ostro zganił Lelewela za to, że w kochanku Wandy upatrzył królika Warnów, w Leszku I każe nam widzieć Samona, a w Leszku III — Ermanaryka, „tak dziwaczny wykład — dodaje Bielowski — prowadzi prosto do wniosku, że Mateusz pierwszą swą księgę układał tylko na żart i drwiny...“ Niezawodnie — nadmienia Wojciechowski od siebie — domysł Lelewela był dziwny; ale co sądzić, kiedy Bielowski poprawia Lelewela w ten sposób, że u niego Leszek I jest Glaukiasem, królem Taulantów, Leszek II — Birebistem, królem Getów, Leszek III — Kotysem, Krak — Bardylem, Królem Antaryotów, kochanek Wandy — Langarem, królem Agryanów...

Wilhelma Bogusławskiego na tak grubych domysłach pochwycić nie sposób — to prawda. Ale przesunięcie zachodniej granicy Słowian od Łaby po za Ren, do Wogezów i jeziora genewskiego, a początków historyi Sklawinów do epoki króla Heroda, tudzież polszczenie lokalnych nazw swewskich, jak Semnones i Semones na „Ziemianie,“ Hermundulus na „Durzyńców,“ Chaemae-Teurioy, Ptolomeusza na „Kamieńczanów,“ strabonowych Batini na „Budyszanów,“ ptolomeuszowych Sedini na „Szczecinianów,“ Aelveones na „Wolinianów,“ Buguntí na „Bukowianów,“ tacytowych Reudignów na „Radogoszczanów,“ Nahanarvali na „Nadnarwianów“ i tym podobne zbliżenia lub przeobrażenia fonetyczne były w stanie dostarczyć łatwej a ciętej i sprawnej broni nawet współpracownikom „Szczutka“ lub „Kolców.“ Z punktu nieskończenie poważniejszego i podnioślejszego obraz traci niewątpliwie barwy humorystyczne, nie znaczy to wszakże bynajmniej, abyśmy przez to stawali już na gruncie realnym, twardym. Karcąc w przedmowie hypotezyjne popisy erudytów „przyzwyczajonych trzymać się pewnej rutyny i ślepej wiary w nieomylność autorytetów,“ autor podaje zarys swej metody badawczej, głoszącej, że gdzie nie starczy pomników pisanych, należy wezwać na pomoc obyczaje prawne, wyobrażenia religijne, urządzenia społeczne, zabytki dawnego życia w ustroju gmin, w zabudowaniu osad, podziale pól, a gdy i to się wyczerpie, jest jeszcze mowa żyjących ludów, która mimo ich wiedzy przechowała wskazówki etnograficzne... Bardzo dobrze! nikt dziś inaczej nie postępuje. Ale oto zaraz na przykładzie mamy zastosowanie przepisu. „Wskażę na Kalisz — pisze Bogusławski — którego nazwę erudyci uważają za keltycką, przez Słowian przyjętą. Nie wierząc temu i będąc przekonanym, że Słowianie nad Prosną siedzieli wcześniej, niż Ptolomeusz zapisał nazwę Kalisza, zapytałem naszą mowę: skąd się wziął Kalisz? — Mowa odpowiada: Kalisz otrzymał nazwę od kaliska, miejscowości podmokłej, bagnistej, jakich dużo było za czasów Ptolomeusza, a znajdzie się i teraz niemało na porzeczce Noteci i w Prusach zachodnich, gdzie jest kilkanaście osad z nazwami Kaliska, Kaliszany, Kalisze itd. Z mowy więc dowiadujemy się, że przed Ptolomeuszem nad Prosną bytował ten sam lud, który zbudowawszy nad błotem Kalisz, pozostał na miejscu aż dotąd...“ Etymologię swoją, wysnutą z topografii miejsca, wzmianki Ptolomeusza i gwary ludowej, bardzo niepewnej, autor uważa za typową, Kalisz jest wzorem, według którego zbudowaną została cała teorya Bogusławskiego. Ale co pozostanie z tego typu i z tego wzoru, jeżelibyśmy dowiedli: 1) że Kalisz zbudowany jest wprawdzie w kotlinie podmokłej, nad błotem, ale nie na błocie; 2) że ptolomeuszowe *calisia* i polskie *kalisko* nie mają w sobie nic zgoła podmokłego, mokrego, miękkiego, gdyż rodowodowo oznaczają przeciwnie: rzecz twardą, suchą, skostniałą, pagórkowatą: należą do tej samej familii wyrazów, co nasze kolano, pokolenie, zakalec, kolej (tj. ścieżka utarta, wydeptana) — i że nawet w wywodzie wyrazów złożonych, pochodnych, takich jak „kałuża“ (od *calc* i *łuży*) pojęcie podmokłości i błotnistości nie odegrywa żadnej roli. Gorszą od tego jest jeszcze okoliczność, że rozmaite pruskie „kaliska,“ na które się autor powołuje, noszą w sobie niewątpliwy zarodek wzgórzystości, jak tego dowodzą wielorakie prusko-litewskie Kielmy, Kalaine, Pilkalnie, Antokole... Najgorsze zaś jest to, że w językach aryjskich w ogólności, a więc keltyckich i słowiańskich, greckich i gockich, łacińskich i litewskich, pierwiastek *kal* wiąże się wprost lub pośrednio z pojęciami nie mokrości i niziny, lecz wyniosłości i suchości, bądź kamiennej, bądź drewnej, spiekłej lub ostygłej (*kala*, sanskr. skorupa; *calx*, łac. wapno, kamień; *calen*, celtyckie krzemień; *kulis, kalis*, lit. kamień, wzgórze itd.).

Niestety! — ktokolwiek miałby tu słuszność lub wcale jej nie miał, żaden wywód, dotyczący pierwocin słowiańskich, nie ocali już Słowian zachodnich od dokonanej, oddawna spełnionej zagłady i zguby. Po celtycku, czy po sarmacku, żyło się nad Prosną i Łabą za dni Ptolomeusza i Tacyta, w I i II w. po Chrystusie, nie wpływa to na zmianę sytuacyi, która od końca VIII wieku, od Karola Wielkiego, zapisała się w dziejach Słowian nadłabskich i nadodrzańskich szeregiem klęsk najdotkliwszych, najkrwawszych, a stwierdzonych dokumentami niepodejrzanej wiarogodności. Odtąd to imiona Słowianina i niewolnika stają się jednoznacznemi. Sam Karloman, później król Henryk Ptaswik, dalej cesarz Otton W. palili, rabowali, burzyli siedziby i grody słowiańskie wszerz i wzdłuż, przyciągając na swoją stronę jedne plemiona, podbijając drugie, waśniąc i podburzając trzecie. Zrywało się do zamętnego boju jak wichura, wzbierało jak powódź — i topniało jak śnieg na wiosnę... Ile tego być mogło w liczbach okrągłych? — wykryć to próbował niedawno Krzywicki w *Prawdzie*. Jeśli pobożni kronikarze niemieccy nie przesadzają w trójnasób, świadcząc, że do walki stawało często po kilkakroćstotysięcy Słowian, w takim razie statystyka Krzywickiego dowodziłaby, że w ogień szli starcy, dzieci i kobiety. Tysiącami też ginęło to lub pędzone było jak bydło na targowiska zachodnie... Niedobitych na wojnie dręczono i męczono podczas pokoju w imię Jezusa Nazareńskiego i z pomocą „praw,“ które przez naigrawanie się nazwano „prawami wyjątkowemi,“ zapominając, że wyjątek od prawa jest zawsze najnikczemniejszem tylko bezprawiem i gwałtem. Święte imperyum rzymsko-niemieckie tak się do tej roli szczwacza, rzezimieszka i oprawcy wdrożyło, że robota paliła się w rękach: rugi w XIII w. zaczęte i usystematyzowane, skończyły się już w XV w., w jednych stronach wcześniej, w drugich nieco później. W połowie XV w. rzadkie tylko kępki Słowian sterczały tu i owdzie między Łabą a Odrą; dłużej nieco utrzymały się „smrodliwe te kupy wendyjskie“ w kilku powiatach dolnej Elby; w południowo-zachodnich obwodach Meklemburga przechowały się one w rzadkich okazach do początków XVII w., a w Lauenburgu, którego tytuł książęcy ozdobił za dni naszych czoło uwolnionego od „roboty“ Bismarcka, przetrwały do połowy XVIII w., do chwili właśnie, kiedy potomek dawnych lenników Rzeczypospolitej, Fryderyk Wielki, rozpoczynał swe „roboty“ nad Wisłą, uwieńczone pierwszem walnem powodzeniem w lat tysiąc dwieście dwadzieścia dwa po Jornandesie.

Lecz po co to piszemy? dla kogo? Po co i dla kogo. Wilhelm Bogusławski sporządził cztery foliały swego dzieła, z mapami, anneksami, alfabetycznymi spisami miejscowości, które w okresie Strabona istotnie mogły nosić imiona Babin zamiast Bamberg, Boghór zam. Hamburg, Bolesławice zam. Bunzlau, Bralin zam. Berlin, Chyżyce zam. Kissingen, Dziewin zam. Magdeburg, Dobrogora zam. Halle, Jeżewo zam. Gischau, Hobolin zam. Hawelberg, Kletno zam. Klettenburg, Łopawa zam. Lopau, Lubicz zam. Lubeka, Międzybórz zam. Merseburg, Miszno zam. Meisen, Młyńce zam. Linz, Mogan zam. Men, Mohucz zam. Moguncya, Starograd zam. Oldenburg?.. Po co i dla kogo w ciągu lat czterdziestu autor wertował i kompilował archiwa, monumenta, antykwaryusze Pertzów, Muratorich, Stenzlów, albo też za twardo zapracowany grosz urzędniczy sprowadzał fotografowane teksty i atlasy Ptolomeusza? Zamykając którąś część straszliwej, klasztornej, męczeńskiej pracy, Bogusławski powiada, że jakkolwiek Niemcy bardzo mocno, na pozór, siedzą na ziemiach Słowianom wydartych, to jednak nigdy nie zdołają uzyskać „historycznego prawa“ do tych posiadłości... Naturalnie, o ileby dziś o coś podobnego dbali. W każdym razie, do kogo należą owe prawa historyczne, których Niemcy nie mają? Kto się o nie dopomni, przed czyj sąd pozwie nieistniejący, dawno zmarły tytularnik wypasionego swego przeciwnika?

Wyznajmy, że odgrzebując sprawę pogrzebanych naszych prastryjów i praciotek, Bodryczów, Lutyczan, Hobolanów, czynimy to, chociaż być może nieświadomie, więcej w widokach rozgrzeszenia siebie samych, niżli w szczerej chęci wymierzenia ścisłej dziejowej sprawiedliwości jednej i drugiej stronie. Przypuśmy, że najzgodniej z prawdą i rzeczywistością zaznacza Bbogusł. w konkluzyi, że nad Hobolą i dolną Sprewą panuje obecnie nie żaden naród „od Boga stworzony,“ lecz „zbiegowisko ludzi różnego pochodzenia, tłum wszelakich obyczajów i mowy, niemający narodowego nazwiska,“ zszeregowany w zastępy brandenburskie żądzą łupieży i zogacenia się cudzym kosztem (IV, 701). Nawzajem atoli, kim i czem były owe stada hobolańskie, lutyckie i dobryckie, co takiej nędznej zgrai łotrzyków zjeść się dały do włókien w mózgu i chrząstek w gardle?Nie żądajmy już tym razem odpowiedzi

od rozżalonego Bogusławskiego. Oto co sąwspółcześnie z nim piszący dr. Sieniawski, członek honorowy Towarz. naukowego w Toruniu, autor „Poglądu na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Łabą a granicami dawnej Polski“ (Gniezno, nakładem autora, druk J. B. Langiego, 1891, str. 469). Zaraz na okładce jego dzieła spotykamy rysunek, przedstawiający „radło starosłowiańskie.“ Wiemy, odgadujemy, przeczuwamy, co to znaczy. Bracia nasi z przed prawieku nietylko dali Niemcom krew i ciało swe do zjedzenia, lecz wytrzebili dla nich lasy, uprawili ziemię, ucywilizowali przyrodę... Barankowie niewinni! Siebie samych tylko ucywilizować nie mieli czasu, tak dalece zajęci byli gędźbą, piwem wynalezionem na osiemset lat przed Bawarami i zanoszeniem modłów do swoich bogów i bogiń w gajach Marzanny i Cycy (str. 257 i nast.) Byli przytem niezmiernie gościnni, dobroduszni, uprzejmi, tkliwi na pochwały obcych i pochlebstwa swoich, niesłychanie wytrwali w znoszeniu cierpień i męczarni, wdzięczni do obłędu za lada okazaną usługę publiczną, schlebiający gustowi powszechnemu, idealnie zakochani w obyczajach ojców, rozkoszujący się w swobodach osobistych i w potrzebie kijem napędzający jednostki oporne do wspólnoty... w zdaniach i przekonaniach na okaz... Zapewne, z rozważania tak wspaniałych przymiotów możnaby i na dziś wyciągnąć jakąś naukę, jakiś pożytek. Dośćby spojrzeć porównawczo na nasze pola, na nasze miasteczka, na nasze biesiady karnawałowe, wielkopostne, wiosenne i zimowe, na obrady naszych spółek i towarzystw naukowych. filantropijnych, adoracyi wzajemnej i kredytu prolongowanego... Wartoby i na gędźbę spojrzeć niekiedy. Oto prześliczny zbiorek Kasprowicza p. t. „Album współczesnych poetów polskich“ (Lwów, 1899, str. 1074). Mamy tu cudowną metaforę, stosującą się do przedmiotu i do ducha prac Bogusławskiego i Sieniawskiego — p. t. Rycerz i pieśniarz. „Wyzwali się na turniej—a obaj okrutni... Pieśniarz miał błyski w oczach, rycerz niósł pioruny... Miecz szczęknął i uderzył o naciągnięte struny, skry wypadły z oręża, pieśń wybiegła z lutni. Cios był dzielny, bo strzaskał słabą pieśń lutnisty — i runął śpiewak przy strun rozpłakanych drżeniu... Zwycięzca tryumfował... Lecz cóż to? — W westchnieniu lasów i pól dalekich płynie dźwięk srebrzysty... To echo rozkochane w konającym śpiewie, to głosów napowietrznych niekrwawa szermierka... Nutę pieśni na łące chwyciła pasterka — kochanek jej powtórzył... O mieczu nikt nie wie!..“ Ładna to, ani słowa, przenośnia poetycka, szkoda tylko, że bez zakończenia, boć przecie potomstwu rycerza pieśń tę pasterka i kochanek śpiewają dalej na naszych kresach, po dworach dokoła Sosnowic i w Lodzi na dworze — „on drwa mu rąbiąc, ona ścieląc łoże...“ A sens moralny śpiewania — widoczny. W wiekach średnich — zapewnia dr. Sieniawski — pobijały nas kusze i pancerze, których nie umieliśmy *tylko* robić; w wiekach nowożytnych podbijają nas sukna i płócienka, w których *tylko* wdzięcznie możemy się nosić... „Oj, danaż nasza, dana!“ — i to cała z Niemcami wygrana.

Hodi.

ZAGADKI ŚWIATA*).

I.

Tysiące ludzi giną co rok przy rozbijaniu się okrętów, w katastrofach kolejowych i od wybuchów w kopalniach; tysiące giną w wojnach morderczych, których przygotowania zabierają lwią część bogactwa narodowego u ludów, stojących na najwyższym stopniu rozwoju cywilizacyjnego i uznających miłość chrześciańską. A wśród tych setek tysięcy ofiar cywilizacyi współczesnej — iluż jest ludzi dzielnych, tęgich i zdolnych do pracy. I wobec tego wszystkiego mówi się jeszcze o celowem i etycznem urządzeniu świata...“

Przytoczyliśmy dosłownie ustęp powyższy, albowiem wydaje nam się on bardzo charakterystycznym dla autora dzieła, wymienionego w nagłówku, — słynnego ucznia Karola Darwina, pioniera i popularyzatora teoryi ewolucyi, jednego z pierwszych badaczów najniższych organizmów jednokomórkowych, twórcy „królestwa zwierzokrzewów,“ autora gatunku hypotetycznego praorganizmu (*Bathybius Haeckeli*), gorliwego wyznawcy i apostoła „religii monistycznej“ — E. Haeckla.

Ustęp powyższy jest dlatego charakterystyczny, że daje pojęcie o umysłowości tego badacza, który w dociekaniach nad zagadkami bytu, nad wytknięciem drogi, wiodącej do ich rozwiązania, szuka zadośćuczynienia nietylko wymaganiom umysłu, lecz i uczucia; który w swem pojęciu wielkiej jednolitości wszechświata zespala wszystkie dziedziny duchowego życia człowieka w jedną całość harmonijną, polegającą na wiecznej tęsknocie do ideałów prawdy, dobra i piękna, bo są one dlań nierozłączne.

Takim jest też Haeckel w ostatniej swej pracy o „zagadkach świata.“ Składa się ona z czterech części: antropologicznej, psychologicznej, kosmologicznej i teologicznej. Szczegółowemu rozbiorowi poddawać wywodów znanego autora w miejscu tem nie będziemy, bo nie są to zresztą rzeczy nowe i nie pierwszy raz Haeckel rzuca światu śmiałe swe opinie i poglądy.

Główne zasady filozofii monistycznej i genetycznej — jak sam opowiada we wstępie — wyłożył on już 34 lata temu w *Generelle Morphologie der Organismen*. Była to praca mozolna i ciężka, więc niezbyt licznych miała czytelników, chociaż była pierwszą próbą stosowania naukowej teoryi rozwoju do rozległej dziedziny nauki o formach świata organicznego (morfologia). Aby przynajmniej pewną część nowych poglądów uprzystępnić szerszym kołom czytelników, interesujących się największemi zdobyczami wiedzy ludzkiej ostatniego stulecia, wydał on w dwa lata później (1868) znane i w polskim przekładzie „Dzieje utworzenia przyrody“ (*Natürliche Schöpfungsgeschichte*). Książka ta, pomimo wielu braków — jak przyznaje sam autor — miała już znacznie większe powodzenie, albowiem doczekała się aż dziewięciu wydań niemieckich i dwunastu przekładów na różne języki obce.

W r. 1874 Haeckel wydał *Antropogenię*, w której usiłuje wyjaśnić i uprzystępnić główne dane, dotyczące historyi rozwoju człowieka. W r. 1878 wyszedł jego zbiór odczytów i pogadanek popularnych o ciekawszych sprawach z zakresu filozofii przyrody (*Vorträgen aus dem Gebiete der Entwickelungslehre*), a w r. 1892 — *Monismus als Band zwischen Religion und Wissenschaft* (wyd. VIII — w r. 1899); przedmiot ostatniej książki stanowi rozbiór stosunku nauki do religii ze stanowiska filozofii monistycznej.

Praca najświeższa o „zagadkach świata“ stanowi tylko dalsze rozwinięcie, pogłębienie i uzupełnienie przekonań Haeckla, przedstawionych w pismach poprzednich; ale jakkolwiek, istotnie, nie daje nam ona wiele nowego, zasługuje wszakże na uwagę dla wielu względów.

„Pracą niniejszą — pisze Haeckel — chciałbym zakończyć swe studya w dziedzinie filozofii monistycznej... Dawnego, przez wiele lat pielęgnowanego planu zbudowania całkowitego „Systemu filozofii monistycznej“ na podstawie teoryi rozwoju, nie będę już mógł urzeczywistnić. Brak mi sił do tego, a nadchodząca starość każe się z nim pożegnać na zawsze... Zresztą, jam jest niepodzielnie dzieckiem XIX stulecia — i chciałbym wraz z jego końcem ostatnią kreskę przeciągnąć pod pracą żywota mego...“

„Do jednej tylko rzeczy miałbym pretensyę — mówi w innem miejscu — i jej bym wymagał nawet od najbardziej zdecydowanych przeciwników, aby uznali, że moja filozofia monistyczna jest od początku do końca *uczciwa*, że jest ona odzwierciedleniem szczerem przekonań, do jakich doszedłem drogą swych długoletnich i gorliwych badań oraz rozmyślań o istotnych przyczynach zjawisk. Ta praca moja zajmuje znaczny okres czasu, bo na pół wieku się rozciągający, i obecnie, w 66 roku mego życia, śmiem przypuszczać, że jest ona w znaczeniu ludzkiem dojrzała; jestem też przekonany, że dojrzały ten owoc drzewa poznania nie ulegnie już ani znacznemu udoskonaleniu, ani zasadniczym zmianom przez ten nieznaczny okres czasu, który jeszcze istnieniu memu wyznaczony został...“

W tych wyznaniach autora ujawnia się właśnie jakaś przedziwna nuta serdeczna, której może w pewnym stopniu zawdzięcza on swą niezwykłą popularność i dzięki której najbardziej śmiałe, nawet bluźniercze słowa pioniera nowej idei wprost rozbrajają zaciętych przeciwników i pociągają zastępy wyznawców.

Bo to nie jest owa wyimaginowana w przejętej chorobliwym strachem wyobraźni postać surowego i strasznego „materyalisty,“ występującego jako siła niszcząca piękny świat ducha ludzkiego — jeno wcielenie idei, domagającej się uznania objawów życia duchowego za zjawiska natury i podporządkowania ich prawom ogólnym przyrody realnej, aby uczynić z nich rzeczy nie nadnaturalne, lecz najbardziej przyrodzone, bardziej nam drogie i kochane, tak — bardziej drogie i kochane, bo ideał surowej prawdy, dobra i piękna wszędzie i zawsze są nierozłączne.

Haeckel jest prawdziwym fanatycznym patryotą XIX stulecia. Teorya ewolucyi, którą on uważa za jedną z największych zdobyczy umysłu ludzkiego, jest zarazem największą zdobyczą kultury naszego wieku — i z tego jest on dumny, on, najgorliwszy rzecznik tej wielkiej teoryi. On chce być tylko dzieckiem XIX stulecia. To, co w połowie stulecia poczęło się w jego umyśle młodzieńczym i co głosić rozpoczął w parę lat później, toż samo powtarza i dumnie rzuca światu w postaci skrystalizowanej jako starzec, stojący nad grobem; i wraz ze stuleciem kończy swą pracę i walkę ciężką. Przeciwności losu i przeszkody, jakie spotykał w swej walce, nigdy go nie zrażały i nie zamącają mu obecnie jasnego obrazu przyszłości, bo — jak mówi Goethe:

> Das ist der Weisheit letzter Schluss:
> Nur der verdient sich Freiheit, wie das Leben,
> Der täglich sie erobern muss...

Dlatego też wierzy w przyszłość XX w., który dopiero zbierać zacznie plony nauki, opartej na teoryi rozwoju, stanowiącej zdrowy posiew kończącego się stulecia.

*

Tak się przedstawia Haeckel jako apostoł filozofii monistycznej, głoszącej wielką jedność wszechświata, oraz wiary w ideały prawdy, dobra i piękna — i w przyszłość ducha ludzkiego, którego postęp nie ma granic i który wdziera się coraz śmielej i coraz dalej w tajniki przyrody — aż do tych zagadek najwyższych, co się w jeden największy *Welträthsel*, w jedną zasadniczą „zagadkę substancyi“ zlewają...

*) Dr. E. Haeckel: *Die Welträthsel*. Gemeinverständliche Studien über monistische Philosophie. Bonn. 1899. Str. 473.

Wszystko to się odbija na charakterze książki: jest ona wybitnie subjektywna, o czem zresztą sam autor uprzedza czytelnika w przedmowie: „Odpowiedź moja na te wielkie pytania może być, naturalnie, li tylko podmiotowa i tylko do pewnego stopnia prawdziwa, albowiem zarówno znajomość natury, jak i zdolność objektywnego sądu o jej istocie właściwe mi są w stopniu nader ograniczonym..." Nic tedy dziwnego, że ścisła krytyka naukowa niejeden brak w tem wszystkiem odnajdzie, i drobną niekonsekwencyę, i „gołosłowne" twierdzenie.

Punkt wyjścia wszystkich wywodów Haeckla stanowi teorya rozwoju, przez naukę współczesną stwierdzona i przyjęta. Najogólniejsze tedy założenia jego mają charakter naukowy i podlegać mogą interpretacyi naukowej. Sprobójmy niektórym z nich się przyjrzeć.

Więc co to jest monizm?

Ze stanowiska filozofii monistycznej cały wszechświat (kosmos) przedstawia jedno, niepodzielne „państwo substancyi," której niezmiennymi i nierozłącznymi atrybutami są: materya i energia. Myliłby się, ktoby chciał utożsamiać monizm z czystym materyalizmem. Materyalizm nie uznaje „duszy," widząc jedynie martwe atomy: monizm zaś twierdzi tylko, iż ciało i dusza stanowią *nierozłączne* atrybuty składającej wszechświat „substancyi," że „materya ani istnieć, ani czynną być nie może bez ducha, również jak i duch bez materyi."

Monizm ma tedy źródło w owych wierzeniach panteistycznych, które właściwe były wielu religiom starożytnym i w których tkwiły już pierwiastki poglądu o jedności wszechświata. Myśl ta zaznacza się wyraźniej u filozofów greckich: Anaksymandra, Talesa, Anaksymenesa; niektórym z nich, zwłaszcza Anaksymandrowi, nie było obce nawet pewne pojęcie o ciągłym i postępowym rozwoju zjawisk i rzeczy we wszechświecie.

Idee panteistyczne prześwitują też w dziełach całego szeregu późniejszych myślicieli: Demokryta, Heraklita, Empedoklesa. Jedność natury i boga, ciała i ducha głosił też rzymski poeta-filozof Lucretius Carus; rzecznikiem idei tej był też Giordano Bruno, spalony w Rzymie przed trzystu laty (17 lutego 1600 r.); lecz w postaci mniej więcej skończonego systemu ukazał się panteizm dopiero w drugiej połowie XVII stulecia, w dziełach Barucha Spinozy. Pojęcie wszechświata, kosmosu, odpowiada u niego wszechogarniającemu pojęciu Boga; jest to tedy zarazem najczystszy monizm i najwyraźniejszy monoteizm.

W dociekaniach nad przyczynami zjawisk we wszechświecie monizm opiera się na newtonowskiem prawie ciążenia powszechnego oraz mechanice niebieskiej Kanta — Laplacea. „W astronomii i kosmogenii — mówi Haeckel — w geologii i meteorologii, w fizyce nieorganicznej i chemii panują niepodzielnie prawa mechaniczne, oparte na podstawach matematycznych. Od tej chwili zanikło też raz na zawsze z nauk powyższych wszelkie pojęcie *celowości*. Dziś, przy końcu XIX stulecia, żaden badacz przyrody nie szuka w tej rozległej dziedzinie celu jakiegokolwiek zjawiska. Czyż istotnie astronom może dziś na seryo myśleć o celu ruchu planetarnego albo mineralog o celu pojedynczych form kryształów? Albo czyż fizyk ma sobie łamać głowę nad celem sił elektrycznych, lub chemik nad celem ciężarów atomowych? Możemy spokojnie odpowiedzieć: nie!... Zamiast czynników, działających i panujących z celowością, występują „wieczne, spiżowe, wielkie prawa natury."

Skoro wszakże od świata nieorganicznego przejdziemy do istot ożywionych, wnet postać rzeczy się zmienia: świat naukowy dzieli się na dwa główne odłamy. Jeden z nich stanowią witaliści, uznający specyalną jakąś siłę życiową *(vis vitalis)*, celową i niezależną od zwykłych praw fizyczno-chemicznych, pod których działaniem znajduje się wogóle materya.

Jest to pogląd dualistyczny, bo rozbija przyrodę na dwa światy odrębne i niezależne, w przeciwstawieniu do zapatrywań monistycznych, uznających jedną tylko przyrodę i jedne prawa, ogólne i powszechne — na zasadzie następujących postulatów:

1) Ciała organiczne składają się z tych samych pierwiastków, które spotykamy w przyrodzie martwej.

2) Związki chemiczne pierwiastków, właściwe istotom żyjącym i warunkujące ich „zjawiska życiowe" są to złożone ciała plazmatyczne, należące do grupy albuminatów, czyli związków białka.

3) Samo życie organiczne jest to proces chemiczno-fizyczny, polegający na przemianie materyi złożonych związków białkowych.

4) Pierwiastkiem tym, który w połączeniu z innymi pierwiastkami: tlenem, wodorem, azotem, siarką, może sam wytwarzać owe złożone ciała białkowe (w organizmie roślinnym), jest węgiel.

5) Plazmatyczne związki węgla różnią się od większości pozostałych ciał chemicznych swą niezwykle złożoną budową molokularną, wielką niestałością i swoistym stanem fizycznym.

Otóż, na zasadzie powyższych postulatów powstała w swoim czasie teorya *(Karbogen-Theorie)*, głosząca, iż właśnie i li tylko swoiste właściwości związków węgla, mianowicie stan fizyczny (gęsto-ciekły) oraz niestałość — oto są przyczyny tych objawów ruchu, którym istoty żyjące różnią się od natury martwej i które stanowią to, co w ciaśniejszem znaczeniu nazywamy życiem.

Rozumie się samo przez się, iż to, co nazywamy „życiem duchowem," monizm też nie wyłącza z pod prawa ogólnego. Jest ono z punktu widzenia filozofii monistycznej sumą zjawisk życiowych, które, również jak i wszelkie inne objawy życia, związane są z pewnem podłożem materyalnem. Tej podstawie materyalnej, bez której nie możemy sobie wyobrazić żadnej czynności psychicznej, moglibyśmy dać nazwę *psychoplazmy*. Dusza jest tedy pojęciem zbiorowem, obejmującem wszystkie czynności psychiczne protoplazmy, zatem jest z tego punktu widzenia również abstrakcyą *fizyologiczną*, jak np. pojęcie „przemiany materyi," „rozmnażania" itd.

U człowieka i zwierząt wyższych, których tkanki i organy znajdują się na wyższym stopniu różnicowania, psychoplazma przedstawia specyalnie pewne części składowe systemu nerwowego (neuroplazma). U zwierząt niższych i u roślin psychoplazma nie jest wydzielona z pośród ogólnej masy protoplazmy. „Ale we wszystkich wypadkach — mówi Haeckel — zarówno na stopniu najwyższym, jak i najniższym, niezbędnym warunkiem funkcyonowania „duszy" są pewne własności fizyczne oraz określony skład chemiczny psychoplazmy. Czynność psychoplazmy, której nadajemy miano „duszy," jest zawsze ściśle związana z przemianą materyi."

A stosuje się to nietylko do „życia duchowego" istot niższych: ich wrażliwości, wszelkich odruchów i instynktu samozachowawczego, lecz i do najwyższych czynności psychicznych, polegających na tworzeniu pojęć i wyobrażeń, pracy rozumu i świadomości: albowiem te stopnie wyższe — jak zawsze i wszędzie w przyrodzie — musiały się filogenetycznie rozwinąć w niższych: albowiem na wyżyny te wyniósł je tylko znaczniejszy stopień centralizacyi czy połączenia czynności, poprzednio rozłączonych; więc nie jakościowe, jeno ilościowe zachodzą tu różnice.

(D. n.).

NOTATKI NAUKOWE.

— Mikrokosmiczny rozwój naszej literatury prawnej i nauki prawa wogóle zyskał poważną placówkę w *Czasopiśmie prawniczem i ekonomicznem*, którego pierwszy zeszyt otrzymaliśmy przed chwilą. Redakcya mniema zupełnie słusznie, że, rozpoczynając nowe wydawnictwo, czyni zadość potrzebie, odczuwanej oddawna przez cały nasz stan prawniczy. Życie prawne i społeczne pozostaje w tak ścisłym związku z rozwojem odpowiednich mu umiejętności, iż z różnych stron podnoszono od dłuższego czasu konieczność stworzenia organu, któryby skupił ludzi, pracujących u nas nad rozwojem tych umiejętności, a zarazem zapoznawał szersze koła prawników z postępem wiedzy prawnej i społecznej. *Czasopismo* zajmować się będzie przedewszystkiem rozwojem teoryi prawa i umiejętności społecznych. Wychodzić będzie w zeszytach kwartalnych w objętości około 30 arkuszy druku na rok. Każdy zeszyt składać się będzie z artykułów oryginalnych oraz z działu informacyjnego i krytycznego. Zamiarem redaktorów jest, aby te sprawozdania dawały wierny i wyczerpujący obraz postępu poszczególnych działów wiedzy prawnej. *Czasopismo* kosztuje rocznie 8 koron (4 rb.). Komitet redakcyjny składa się z członków wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesorów: Fiericha, Bresiewicza, Czerkaskiego, Estrejchera (syn), Jaworskiego, Krzymuskiego, Lea, Makarewicza i St. Wróblewskiego." Oczywiście życzymy pionierowi prawdziwej a uczciwej nauki powodzenia.

— Leon Wasilewski: *Galicya współczesna* (Sowremennaja Galicya). Petersburg, 1900, str. 231, z mapą Galicyi. Cena 80 kop.

W tej doskonałej zarówno co do treści, jak i co do formy i układu książeczce autor, najlepszy u nas bezsprzecznie znawca stosunków austryackich, nakreślił obraz Galicyi ze szczególnem uwzględnieniem warunków kulturalnych. Nie należy on, co prawda, do bezwzględnych apologetyków i chwalców obecnych porządków galicyjskich, przeciwnie, nie zamyka oka na zło, które przeciska się porami niezrównoważonego, chaotycznego życia galicyjskiego, ale z drugiej strony nie zaciągnął się pod chorągiew niezadowolonych *quand même*. A że pisał dla czytelnika obcego, tedy to pohamowanie, ten spokój poczytujemy mu za zasługę. W szeregu dziewięciu rozdziałów mówi autor o dziejach i obecnym stanie Galicyi, o miastach, stanie ekonomicznym, kółkach rolniczych, oświecie ludowej, partyach politycznych, Rusinach, literaturze i życiu umysłowem Galicyi. Wszędzie uwzględnione zostały przedewszystkiem interesy i sprawy ludności pracującej. *—sp.*

LITERATURA I SZTUKA.

PISMA IGNACEGO DĄBROWSKIEGO.

Ignacy Dąbrowski: *Pisma*, 3 tomy. Tom I — *Śmierć*, wydanie nowe; tom II — *Felka*, wydanie nowe; tom III — *Nowele*, str. 189. Warszawa, nakład Jana Fiszera, r. 1900.

Wielki krytyk literacki „najpoczytniejszego" z *Kuryerów* od czasu do czasu zaszczyca uwagą swoją nowe objawy twórczości naszej w dziedzinie beletrystyki. Wartoby zbierać te cenne listki, spadające z potężnych konarów baobabu publicystyki współczesnej, gdyż z czasem mogłyby one stać się ciekawym przyczynkiem do dziejów krytyki polskiej na schyłku obecnego stulecia. Nasza znakomitość kuryerowa, podobnie zresztą, jak i niektórzy pomniejsi kandydaci na reformatorów sztuki, dobijający się za wszel-

ką cenę herostratowych chociażby wawrzynów, nie zdaje się być zadowoloną z kierunku, w którym rozwija się twórczość młodych beletrystów współczesnych. Mniejsza już nawet o to, że żaden z nich nie poszedł drogą, wytkniętą przez autora „Gasnącego słońca“ i „Tyary i Korony“. Gdyby nie mieli talentu, to jeszcze grzech ten wybaczyć by-im można. Smutniejsza, że wszyscy oni zdobywają tak prędko poczytność, uznanie, sławę, że — „nie wyciérają przez całe lata przedpokojów redakcyjnych“, nie wdzierają się mozolnie po szczeblach pracowitości na szczyt drabiny powieściopisarskiej, lecz właśnie na skrzydłach talentu dostają się odrazu na takie wyżyny, do jakich inni, „starsi i zasłużeńsi,“ nawet po stworzeniu całej setki nudnych powieścideł, nie dotrą podobno nigdy. Tego już „zasłużony“ powieściopisarz-krytyk, nie wybaczy młodym za żadne skarby świata. Nie mogąc ukarać ich w inny sposób, nie mogąc im zaprzeczyć talentu, będzie przynajmniej głosił przy każdej sposobności, że robią oni „nieprzyjemne wrażenie dzieci z głowami osób dorosłych“, to znów — owoców, „stoczonych przez robactwo i spadających bardzo prędko z drzewa na ziemię;“ będzie co parę tygodni odzywał się z przekąsem o rychłem wyczerpywaniu się i milknięciu młodych talentów, będzie im zgon przepowiadał. Lecz ród proroków większych wygasł podobno od dawna, a wróżbiści mniejsi, których sztuczki graniczą tak często z kuglarstwem, powinni być w przepowiedniach swoich co najmniej tak ostrożni, jak owi kapłani delfijscy, których wróżby na wszelki wypadek miewały podwójne znaczenie. Niebezpiecznem jest wogóle intonowanie hymnów pogrzebowych—żyjącym, a nadewszystko nie zawadzi pamiętać, że na szalach literatury nieraz dwa, trzy tomy mogą zaważyć więcej od całej biblioteki . . . tandety.

Do rzędu młodych beletrystów naszych, którzy już pierwszymi utworami zdobyli nietylko rozgłos i poczytność, ale, co większa, własny a niepośledni kącik w literaturze, należy niewątpliwie autor „Felki“ i „Śmierci,“ Ignacy Dąbrowski. Nie mamy prawa przypuszczać, aby przerwa w jego twórczości, wywołana może szczególnemi okolicznościami życia, miała być zapowiedzią zupełnego umilknięcia zdolnego pisarza. Dąbrowski zaczął tworzyć młodo i ma zapewne przed sobą długie jeszcze lata pracy literackiej, a milczenie obecne może nawet odbić się dodatnio na dalszym rozwoju jego talentu. Lecz gdyby nawet istotnie krakania „życzliwych“ pseudokrytyków miały w sobie coś z mocy proroczej, gdyby młody ten pisarz nie dał nam nic więcej w przyszłości ponad „Śmierć,“ „Felkę“ i świeżo zebrany tom nowel, to i tak utwory te zapewniłyby mu miejsce zaszczytne w szeregu nowelistów naszych, gdyż nietylko zdołał on w nich wielokrotnie wzruszyć do głębi ogół czytający, lecz nadto uchylił rąbka zasłony, poza którą spoczywa w tajemniczym mroku dusza współczesna w swych najrozmaitszych przejawach, ta dusza, będąca od wieków najbardziej może pociągającą, najciekawszą zagadką dla artysty. Cokolwiek jednak otrzymamy od autora „Śmierci“ w przyszłej fazie jego rozwoju, przyznać obecnie trzeba, że dobry miał pomysł wydawca, który zebrał w pewnego rodzaju całość dotychczasowe jego prace, ułatwiając tym sposobem na teraz ogarnięcie jednym rzutem oka całokształtu twórczości Dąbrowskiego, a na przyszłość—porównanie z dalszymi objawami jego talentu.

Pamiętamy dobrze to żywe zajęcie, wywołane wśród inteligentnej młodzieży przed ośmiu czy dziewięciu laty ukazaniem się „Śmierci“. Książkę tę wyrywaliśmy sobie, nazwisko jej autora było wówczas na ustach wszystkich. Dziś, gdy młodzieńcza ta praca przeszła już ogniową próbę czasu, przerzucając jej kartki, trudno zaprzeczyć, że zajęcie było usprawiedliwione całkowicie, i to nietylko niezwykłą treścią tego studyum nad duszą ludzką. Każde zetknięcie się świata żyjącego z tajemniczem tchnieniem zagrobowem jest już samo przez się ciekawe; przedśmiertne rozmyślania człowieka, stojącego nad czarną otchłanią grobu, budzić będą zawsze zainteresowanie wśród tych, co pozostać mają z żywymi, gdy on już w wieczność odejdzie. Lecz w danym razie odgrywał jeszcze rolę czynnik specyalny, który do chwili obecnej zachował w znacznym stopniu pierwotne znaczenie i wartość. Któż z nas nie miał w niezapomnianych dniach pierwszej młodości takich bezsennych „nocy romantycznych“, spędzanych na marzycielskiej rozmowie z przyjacielem, o jakich wspomina bohater „Śmierci“, Rudnicki? „Kładziemy się wówczas obadwaj na łóżkach—bo to dla nas najdogodniejsze locum z całego mieszkania — i długo, długo w noc rozmawiamy, mówiąc o przyszłości, rozważając sprawy ludzkości całej i społeczeństwa. On marzy jakoś realniej i prawdopodobniej, ja się zatapiam w jakieś rojenia mistyczno-idealne, niemożliwe do urzeczywistnienia. Ale dobrze nam tak razem i poczciwie, choć ułudnie, mamy myśli. Tak nam noc nieraz do brzasku schodzi“. Któż z nas nie walczył kiedyś, jak owi studenci Dąbrowskiego, „z dziurami, szparami, chłodem i głodem“, kto nie bolał, jak oni, nad rozrzuconemi po strzępku wierzeniami młodości, nie próbował bolesnej analizy własnej duszy, nie wyjaśniał innym swych teoryi społecznych, starając się nawrócić ich na swą wiarę; kto choć raz w życiu nie przedsiębrał zadań tytanicznych, a w nieszczęściu największem nie obawiał się tak niczego, jak litości? To bliskie pokrewieństwo bohatera „Śmierci“ ze współczesnym światem żyjących jest jedną ze zrozumiałych zupełnie przyczyn wziętości pierwszej pracy powieściowej Dąbrowskiego. A niezależnie od względów powyższych są w tej książce, przy końcu zwłaszcza, ustępy, których nikt chyba nie potrafi czytać bez głębokiego wzruszenia. Autor gra na strunach serc naszych środkami bardzo prostymi. Jakieś pożegnanie Rudnickiego z nielubianą i niesympatyczną ciotką, lecz pożegnanie po raz ostatni, na zawsze; to znowu przyjazd dawno niewidzianej siostry, roztaczającej nad chorym opiekę macierzyńską; jakaś wesoła pozornie, a w gruncie rzeczy smutna uroczystość rodzinna, opisana ze szczegółami najdrobniejszymi, a zakończona odegraniem starej sentymentalnej piosenki i gorącemi łzami umierającego; i ta wreszcie skarga jego ostatnia na życie całe, na nędzę, którą cierpiał, na głód, co mu dokuczał, na siebie, że życie zmarnował—wszystko to motywy proste, pozbawione zupełnie efektów melodramatycznych, a jednak umieją one przemówić głęboko do każdej wrażliwej duszy. Ta prostota środków artystycznych i dar wywierania przy ich pomocy dużego stosunkowo wrażenia—to jedna z zasadniczych cech talentu Dąbrowskiego, powtarzająca się stale i w dalszych jego utworach.

Jeżeli pod względem artystycznym w „Śmierci“ możnaby odnaleść pewne, niewielkie zresztą, nierówności, to natomiast „Felka“ należy do najlepiej zharmonizowanych wewnętrznie utworów naszej beletrystyki współczesnej. Dla jednostronnych zwolenników tytanizmu w sztuce, uznających tylko pewne jej rodzaje i usiłujących szeroką i bystrą rzekę twórczości, o falach zmiennych, nieuchwytnych, ująć gwałtem w ciasne koryto czczych, jak zawsze, formułek, „Felka“ Dąbrowskiego nie będzie wcale utworem literackim, a bohaterka jej, pożal się Boże, oszukana szwaczka, to przecież — „nawet nie człowiek“. A jednak w tych właśnie przenaiwnych listach młodej dziewczyny, zwierzającej się matce ze wszystkich swych uczuć i myśli i nie mogącej uwierzyć do ostatniej chwili, iż jej kochanek jednozimowy zaślubi na wiosnę—inną, odbija się, jak w zwierciadle, zbiorowa dusza pewnej warstwy kobiet współczesnych i zarazem indywidualna dusza autora z jego nieujawnionem wyraźnie, a jednak wychylającem z każdej kartki swe oblicze, współczuciem dla pewnej formy cierpienia i gniewem na warunki, w których to cierpienie powstaje. Czy to jest utwór tendencyjny? Bynajmniej. Autor maluje nam poprostu, z zadziwiającą prawdą, lecz bez żadnej myśli ubocznej, niezłożone smutki i radości, wzruszenia i nadzieje młodej duszy dziewczęcej, pragnącej odrobiny należnego jej słusznie szczęścia i wyciągającej do niego ramiona, lecz po złudzeniu chwilowem odepchniętej brutalnie od jego czary. A że przytem nie umie on i nie chce ukrywać swego współczucia dla bólu bratniej istoty, to jest to już właściwość, wspólna wszystkim ludziom, stojącym na pewnym stopniu rozwoju etycznego, niezrozumiała jedynie dla tych, którzy stopnia tego nie zdołali jeszcze osiągnąć lub też stoczyli się z niego po pochyłości, wiodącej prosto w objęcia wygodnego niekiedy . . . „nadczłowieczeństwa“. W każdym razie, ażeby skończyć z „Felką“, zaznaczyć musimy, że podzielamy w zupełności zdanie tych niewielu krytyków, którzy, zestawiając ten utwór ze „Śmiercią“, uważają go za niewątpliwy i poważny krok naprzód w rozwoju talentu Ign. Dąbrowskiego. Dzięki wybornej charakterystyce swej bohaterki, autor zdołał tu zatrzymać uwagę czytelnika na zwykłych, pospolitych całkiem zdarzeniach, zaciskających się jednak w końcu w węzeł dramatyczny, i wzniósł się przytem do tej wysokości, z której ogarnąć już można świat zewnętrzny w oderwaniu od spostrzeżeń, poczynionych nad sobą samym lub nad swem otoczeniem najbliższem.

Trzeci tom „Pism“ Dąbrowskiego zawiera utwory, ukazujące się w książce po raz pierwszy. Mamy więc tu trzy niedługie nowele („Kolega szkolny“, „Idylla“, „Jedna łza“), krociutką a ładną „Legendę o promyku sobotnim“, oraz, stanowiącą lwią część tomu, „Sonatę cierpienia“. Ulubiona przez autora forma wspomnień lub listów przeważa i w tym tomie. Charakter pamiętnikowy noszą „Kolega szkolny“, „Jedna łza“ i do pewnego stopnia „Sonata“. Na prześliczną „Idyllę“ składają się dwa wymowne, wzruszające do głębi duszy listy.

W pierwszej noweli zbiorku autor maluje z pewnym malancholijno-ironicznym półuśmiechem spotkanie się przypadkowe dwóch dawnych przyjaciół i kolegów szkolnych, których fale życia poniosły prędko w różne strony tak, że, zszedłszy się po latach wielu, są dla siebie nawzajem obcymi. Pomysł nienowy; ozdobę utworu stanowi kartka wspomnień z lat dziecinnych obu bohaterów. Ach, bo, jak słusznie mówi nowelista, tak się układa życie, że całe lata przechodzą szaro, bezbarwnie, nie pozostawiając prawie nic w pamięci, kiedy tymczasem jakieś miesiące, tygodnie, często dni tylko lub godziny, świecą nam w życiu, jak najjaśniejsze gwiazdy, ku którym z taką radością i utęsknieniem wyciągamy ramiona wspomnień! A im dalej w życie, tem o te gwiazdy coraz trudniej...

„Kolega szkolny“ jednak nie należy wogóle do charakterystycznych utworów Dąbrowskiego. Równie dobrze mógłby go napisać każdy inny nowelista, a gdyby nawet nie napisał wcale, literatura nie poniosłaby straty. Perełkami natomiast nowelistyki naszej, arcydziełami wdzięku, dyskrecyi i subtelności—są dwa końcowe utwory zbiorku—„Idylla“ i „Jedna łza,“ a zwłaszcza pierwszy z nich. Chcąc dać pojęcie o tej cichej, a głębokiej miłości, stanowiącej treść obu utworów, trzebaby

je przepisać całe, musimy więc odesłać czytelnika do samej książki Dąbrowskiego. Warto zapoznać się z nią bliżej, chociażby dla przeczytania tych listów męża i żony, tęskniących wzajemnie do siebie (chora na piersi żona pisze do męża z Meranu) i usiłujących ukryć przed sobą istotny, a smutny stan rzeczy. Na „Jednej łzie“, będącej jakby dalszym ciągiem poprzedniego utworu, daje się zauważyć pewien wpływ Sienkiewicza, chociaż sam pomysł jest oryginalny i piękny. Oto młodego wdowca zdecydowanego już na samobójstwo, z rozpaczy po śmierci ukochanej żony, zatrzymuje przy życiu „jedna łza“ staruszki - matki, spadająca mu na głowę, „dziwnie wilgotna, gorąca, a taka ciężka jakaś, że mnie od jej kolan przygniotła do jej stóp“. I w tym utworze autor swym zwyczajem gra głównie na ulubionej strunie wspomnień, stwierdzając niejako pogląd stary. *Nessun maggior dolore, che ricordarsi del tempo felice nella miseria.*

Niewiele miejsca poświęcić już możemy „Sonacie cierpienia“, chociaż należy ona do najciekawszych utworów Dąbrowskiego, jako poniekąd synteza filozoficznych poglądów autora na życie i jego zadania. Rzecz charakterystyczna, że ostatnim wyrazem tej syntezy jest wielkie słowo: „Kochajmy!“ „Sonata cierpienia“ wprowadza do twórczości nowelisty nic spotykano w niej przedtem czynniki, chociażby n. p. owo poczucie jedności człowieka z całą przyrodą, uderzające już na pierwszych kartkach utworu. Pogłębia ona i rozszerza zakres, objęty myślą i uczuciem autora i jest niewątpliwie dziełem poważnem, zakreślonem na szeroką skalę. Autor, malując tutaj ewolucyę duchową współczesnego artysty, wzbija się chwilami na wyżyny, których nie dosięgał w żadnym z poprzednich utworów, zdobywa się na ton uroczysty, przypominający proroków biblijnych. Utwór ten jednak, o którego streszczenie kusić się tu nawet nie możemy, zraża do siebie pewną chaotycznością układu, pewnym nadmiarem słów szumnych, przygnębiających. Brak mu tej harmonii i przejrzystości, która cechuje wszystkie inne prace Dąbrowskiego; niemile natomiast uderza w nim przeładowanie szczegółami zbytecznymi, do których zaliczyłbym n. p. streszczanie pojedynczych części „Sonaty“; razi w nim wprost — rozwlekłość. I dlatego, mimo ustępy prawdziwie podniosłe i piękne, „Sonatę cierpienia“ uważać musimy w twórczości Dąbrowskiego za jedno z tych dzieł przejściowych, będących niekiedy zapowiedzią nowej fazy w rozwoju talentu pisarza.

Władysław Bukowiński.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Działalność amatorów.

Od dwóch i pół lat śledzimy pilnie działalność sceniczną naszych amatorów. Sprawozdania nasze nie są bynajmniej pobłażliwe. Obejmując dział niniejszy stwierdziliśmy, że amatorstwo sceniczne było rodzajem zabawy towarzyskiej i to niezbyt ciekawej: grywano lekkie komedyjki o zacięciu wodewilowem a dyletanci starali się z mniejszem lub większem powodzeniem naśladować manierę aktorów Teatru Nowego. Było to często gęsto salonowe błazenkowanie — ale nie uprawianie sztuki. Pierwszym tedy obowiązkiem naszym w tej chwili jest zaznaczenie, że czasy te minęły i jak się zdaje — bezpowrotnie. Amatorowie spoważnieli, uprawiają dziś istotnie sztukę i służą literaturze dramatycznej. Tem samem i gra ich spoważniała: nie bawią się, lecz pracują.

Następnie zarzucaliśmy swego czasu, że amatorowie lekceważą naszą literaturę dramatyczną i zbytnio hołdują obcej, w dodatku lichej. I pod tym względem nastąpiła poważna reforma. Na poparcie tych słów przeglądamy afisze z ostatniego tygodnia i stwierdzamy, że z literatur obcych dano nam tylko jedno i to arcydzieło, Sofoklesowego „Króla Edypa,“ z literatury zaś swojskiej utwory Asnyka, Fredry, Tetmajera. Fredro i Asnyk są w literaturze naszej gwiazdami pierwszej wielkości, Tetmajer natomiast wchodzi do tej literatury krokami wielkimi. Amatorowie wyszli więc i pod tym względem z okresu parafiańszczyzny.

Miłośnicy Sceny wystawili w szeregu nowości dramatycznych „Sfinksa“ Tetmajera. Dziś Tetmajer posiada w poezyi stanowisko ustalone; scenę musi jeszcze zdobywać. Dlaczego? Bo sceną opiekują się inni krytycy, a ci uważają każdego autora swojskiego za niepożądanego intruza. O Tetmajerze, jako poecie pisano wiele. Utarły się nawet pewne o nim mniemania, które według nas należy sprostować. Zarzucano mu brak idei, brak współczucia dla niedoli społecznej i wreszcie zaznaczono, iż nuta swojska drży w nim słabo. Równocześnie jednak zyskały rozgłos takie jego utwory, jak „Evviva l'arte“ i „Na Anioł Pański biją dzwony.“ Brak uczuć społecznych? Czytajmy:

> Evviva l'arte! Człowiek zginąć musi —
> Cóż, kto pieniędzy nie ma, jest parjasem,
> Nędza porywa za gardło i dusi —
> Zginąć, to zginąć jak pies! — A tymczasem
> Choć życie nasze splunięcia niewarte:
> Eviva l'arte!
>
> Eviva l'arte! Niechaj pasie brzuchy
> Nędzny filistrów naród! My, artyści,
> My, którym często na chleb braknie suchy...

Tak. — „Możemy z głodu skonać gdzieś pod progiem, ale jak orły z skrzydły złamanemi,“ bo — żyjemy dla sztuki a sztuka ludziom potrzebna jak woda i chleb, jak słońce i przestwór powietrzny.

Tak nie pisze artysta-sobek.

A nuta swojska? Posłuchajcie, jak Siemaszkowa rzeźbi i maluje słowa poematu „Na Anioł Pański,“ jeżeli martwa litera książki nie wam nie mówi. Staje przed wami obraz zapadłych pól, moczarów, trzęsawisk, dźwięczą zdała przez pomrok dzwony z mgieł w mgły sunie biedna dusza ludzka, idzie samotna, biedna polem, idzie ze swojem złem i bólem, po zbożnym łanie i po lesie wszędy zło swoje, swój ból niesie... Gwiżdże koło niej wiatr i tańczy... A w którąkolwiek pójdzie stronę, wszędzie gościniec jej wygnańczy...

Coś w tym rodzaju daje tylko w malarstwie Józef Chełmoński. Tak pisze swój o swojem. Tetmajer trzyma się mocno ziemi, z której wyszedł, i dlatego nawet wtedy, kiedy od niej odbiega w obłoki, promieniuje z siebie swojskość. Ale czyni to bezwiednie, bez tendencyi. Nie wdziewa czapeczki - makówki, nie okracza tatusiowej laski i nie śpiewa: „Siądę na konika, poklęcę wąsika, dobędę pałasa, wiwat...“

To wszystko należy zaznaczyć, nim się pocznie mówić o „Sfinksie.“ Nie przeczymy, że jest to utwór napisany trochę pod wpływem maniery Maeterlincka, którego jedni bezgranicznie uwielbiają a inni bezgranicznie potępiają. Według nas Tetmajer w poemacie „Na Anioł Pański“ zrobił to, co Maeterlinck we wszystkich swoich utworach tylko *usiłował* zrobić. Wywołał nastrój z obrazów, odpowiadający ściśle zewnętrznym warunkom zjawisk. Nastrój — to jak woń, płynąca z „pewnych“ kwiatów i wprowadzająca nas w stan ściśle zależny od tej woni. Mogą istnieć „ustawy normalne,“ ale niema „kwiatów normalnych,“ woni abstrakcyjnej i abstrakcyjnego nastroju. Każdy lud przeczuwa Śmierć po swojemu, każde zwierzę zachowuje się wobec niej tak, a nie inaczej. Maeterlinck natomiast zupełnie się nie liczy z rodzajem zjawisk zewnętrznych, towarzyszących nastrojowi, lub będących jego powodem. Śmierć — to Gość Nieproszony. To duch, który nie cofnie się przed żadną materyalną przeszkodą, ludzką przeszkodą. Zaryglij się, człecze, wejdzie *niepostrzeżony*. „Duchom zamknięcie drzwi nie dokucza, kto duch, ten zmyka dziurką od klucza“ śpiewają w „Strasznym dworze“ i dalibóg słusznie. Maeterlinck, mistyczny Maeterlinck, „wymyślił“ zjawiska, towarzyszące zjawianiu się Śmierci, ale ich „nie podpatrzył.“ Śmierć jego „wpycha się“ przez drzwi, których domknąć nie można; psy podwijają ogony, milkną i kryją się do budy. Nieprawda. Psy wtedy, jak prawdziwie przedstawia Mickiewicz, „kopią, wietrzą i okropnie wyją.“ To wycie psów przedstawił również wiernie Henryk Piątkowski, a mamy na myśli jego obraz „Śmierć idzie“ i to nie w formacie dużym, ale małym. Więc ów pierwowzór Maeterlinckowski nie jest wcale arcydziełem nastroju, artysta „wmawia“ w nas ów nastrój i to sztucznymi środkami i nie naturalnymi. Tetmajer przejął się trochę tą manierą i o tyle właśnie utwór jego szwankuje, o ile poeta odstąpił od siebie samego. Bo reszta, ta reszta Tetmajerowska, jest wysoce interesująca. Zaczął z belgijska, ale skończył po polsku, silnym efektem.

Głuchoniemy ślepiec jest wrażliwy tylko na woń kwiatów. Fatalne kalectwo wytwarza w rodzinie przygniatającą atmosferę. W dodatku ów sfinks ludzki o niewiadomem życiu duszy przechodzi przez okres krytyczny budzącej się dojrzałości męzkiej. Jest jakiś niespokojny, rozdrażniony: często jak upiór sunie do wazonu i wącha kwiaty. Każdy mężczyzna, znajdujący się w pobliżu jego siostry, gniewa go. Czuje zdala jego obecność.

Był to wieczór fatalny. Jakiś niepokój w naturze, parno, burza grzmi z daleka, wreszcie piorun zapala stodoły. Do przeklętego dworu zabłąkał się jakiś jeździec, młody człowiek, ujrzał Annę, siostrę owego sfinksa, nawiązuje z nią rozmowę i — jak to nieraz bywa — pokochali się; a ci, którzy się poznali i pokochali śród takich warunków, mówią i myślą nietylko o wiośnie życia, ale i o śmierci. Niebo grzmi, padają blaski pożaru a oni spleceni w uścisku. Odczuł to nieszczęśliwy ślepiec-głuchoniemy. Sunie z wyciągniętemi rękami do wazonu, ujmuje go i znowu party jakąś niewiadomą siłą przysuwa się do młodej panny i wazonem rozbija głowę nieszczęśliwemu kochankowi.

Wrażenie straszne. A sens? Jest jakiś okropny sens w tem wszystkiem i myśl szuka go na oślep w mózgu, czuje go blizko, chwyta. Autor pobudził widza do tego gwałtownego poszukiwania — i na tem poprzestał. Poezya nie podaje rezultatu myślowego jak matematyka, jeno każe go szukać.

Jakże czarującym jest ów ustęp o liliach! Aż się robi biało od tego deszczu kwiecistego słów.

Powiadają krytycy, że Tetmajer walczy tu za pomocą sztuczek scenicznych. Jakich? Na owej pierwotnej scenie amatorskiej, gdzie każdy grom przypominał najlichszą maglownicę a poświst wiatru zupełnie zawiódł? Właśnie pomimo zupełnego braku efektów utwór stał silnie — samym sobą.

A wykonanie? Ganiliśmy wyżej środki sceniczne. Trudna rada. Uboga scena nie posiada ich. Daje, co dać może. Natomiast gra była nadspodziewanie dobra. To rzecz bardzo a bardzo trudna do grania! Panowie Korski, Hofman i Łącki oraz panie Wilczyńska i Bilewicz nie mogły się były lepiej wywiązać z zadania. Wierzymy w to silnie, że gdyby ci amatorzy mieli możność

występowania częściej w podobnych rolach, to udoskonaliliby swą grę. Aleć to była *premiera!*

Do rzędu nowości należy również „Komedya w komedyi“ Wandy Korotyńskiej. Jest to krotochwila wesoła, charakterystyczna, choć zbyt mało oryginalna, aczkolwiek wedle afisza „oryginalnie napisana.“ Wiemy, co znaczy to objaśnienie i znamy jego historyę. Dawniej utwory swojskie należały do takich rzadkości, że trzeba było ich oryginalność zaznaczać, aby nie uchodziły za tłomaczenie lub przeróbkę. Ale dawniej poznawało się też polonusa częściej po wąsach, niż po duszy. Dziś się to trochę zmieniło i wąsy nie należą do cech znamiennych. Również sztuki oryginalne poznaje się nie z nagłówka. Utwór pani Korotyńskiej jest bezpretensyonalny i nie nastręcza uwag. Odegrano go natomiast doskonale. Pan Wilczyński wykazał, że jest wysoce utalentowanym aktorem.

W „Dwóch Bliznach“ Fredry amatorzy spisali się również doskonale i to wszyscy bez wyjątku. To samo wypada powiedzieć o komedyi „Jestem zabójcą,“ odegranej przez inną grupę amatorów. Tam zastanowił nas talent p. Kotowskiego. Natomiast trochę słabo szła „Gałązka heliotropu,“ rzecz nieco przestarzała. Zawinił tu może sam Asnyk.

Wypada nam jednak pod koniec zwrócić uwagę panów Amatorów i Amatorek na jeden szczegół, bardzo ważny. Znajdujemy śród nich tylu zdolnych i utalentowanych ludzi: czemu znajdujemy równocześnie tak wysoki procent syplenienia i wałkowania? Kto chce występować na scenie, choćby amatorskiej, a wymawia źle, ten popisuje się tylko kalectwem. Przecież to tak łatwo nauczyć się wymawiać porządnie. Tylko należy się o to starać. A szkoda, gdyż jedna z artystek, posiadająca niewątpliwie dużo zdolności i wdzięku, sypleniła tak strasznie, że uszy więdły. Demostenes poradził sobie; piękna amatorka poradzi sobie również. A szkoda byłaby jej talentu, gdyby sobie nie chciała poradzić.

Andrzej Niemojewski.

POEZYE

W WIECZNOŚCI... *)

Za młodu zawsze myślałam o lotach
Gdy już i u mnie starość się rozgości...
Gdy to już będzie po kwiatach
I po miłości!..

Gdym stała w kwieciu, jak żywy kwiat róży,
Mówiłam, patrząc na siebie w zwierciadło:
„Zbudzę się jutro... najdłużej!
Różą opadłą.“

Oblecą liście z włosów moich lasu,
Wzrok przytępieje bystrzejszy od grotu —
Cyt!.. słyszysz, jak skrzydła Czasu
Szumią wśród lotu?...

Na Matki mojej kolanach u łona
Myślę — a serce płacze we mnie głośnie—
„Jutro ją trawa zielona
Bujnie porośnie.“

Toną spojrzenia .. ręka rękę trzyma..
A ja w zegarze ruch słyszę wahadła,
Liczę... tej chwili już niema
I ta... już spadła!

Czemu me ucho, od innych wrażliwsze,
Chwyta te szumy, co w obłokach wiszą,
Kiedy ich rzesze szczęśliwsze
Wcale nie słyszą?

O, czarne skrzydła, wyście rozpostarły
Nad czołem w różach zimne cieniu koło,
Pod którem na czole marły
Róże — i czoło...

Które płoszyło zimnem i powiewem
Rój zlatujących się do mnie motyli,
Że pierzchał z pląsem i śpiewem
W początku chwili.

A ja na młodość moją — w młodych latach
Patrzyłam jakby przez mgłę już przeszłości..
Jakby już było po kwiatach,
I po miłości!

*

O, szumią, szumią dwa czarne straszydła!..
I nie zawiodło młodzieńcze przeczucie:
Przebiegły życie te skrzydła
W jednej minucie.

A w ślad za niemi odwiały ode mnie
W wir ich wtrącone: czary, róże, moce...
Zatrzymywane daremnie
W nicości noce.

Lecz jeszcze żyję! Jeszcze świt radosny
Co dnia do widzeń otwiera mi oczy —
A świat, jak w dni mojej wiosny,
Jest tak uroczy!

Niech oblatuje przedostatnie kwiecie
Na czoło suchsze z dnia na dzień i bladsze—
Dla mnie dość szczęścia na świecie,
Gdy na świat patrzę!

Świat! o, ze wszystkich a wszystkich miłości,
Co ze mnie spadły, jak liście drzew w zimie,
Ta jedna, co dotąd gości,
„Świat“ — ma na imię!

Szczęśliwa chodzę w zbożu posrebrzanem
I wśród skał pustych przez kolące ziele,
Wśród drzew, co grają organem
W lasów kościele.

W rodzinnych górach i przez obce morze...
Lecz nadewszystko — nic duszy nie trzeba —
Gdy nocą oczy otworzę
Na gwiazdy nieba!..

*

Wtem woda pluśnie w kamieniach potoku...
Wiatr zaszeleści wierzchołkami lasu...
Cyt! słyszysz szum z pod obłoku?..
To skrzydła Czasu!

Nie mnie utonąć w upojenia ciszę!
Lecieć w zachwycie bez żadnych wędzideł...
Nie dla mnie szczęście! — Ja słyszę
Szum wiecznych skrzydeł. —

Więc choć szczęśliwa w korytarzach leśnych
I w szczerem polu święcąc słodkie wczasy,
Mówię do drzew podniebieśnych:
„Żegnajcie, lasy!“

Jutro — przez wieczność wysłane dwa gońce
Piórko mej duszy porwą z sobą w pędzie...
Jutro... gdy wzejdzie znów słońce,
Mnie już nie będzie.

*

Wielki brylancie w bezmiernym szafirze,
Słońce, skąd potop brylantowej masy
Przez listki, skrzydła zefirze
Spływa na lasy...

Gazo, utkana wietrzyka wrzecionem
W kręgle lusterka z sylwetkami cienia —
Opadająca welonem
Z lasu sklepienia...

Góry, w zczerniałym paszcz waszych kożuchu—
Przedpotopowe żubry, które wieki
Trzymacie straż przy tym Duchu
Zaklętym. Rzeki!

Jodły, rzędami pnące się do góry
Z biciem pokłonów w szpilkowym habicie,
Jak mniszki idące w chóry
Z jutrznią o świcie.

Niebo! — nad głową wywrócone morze —
Gdzie perły światów łyskają z pod wody —
Księżyc! — łódź duchów. — Wy, zorze!
Rajskie ogrody...

Za rok, za tysiąc, dłużej, wiekuiście!
Wy, góry, lasy i wody będziecie —
Lecz ja... cień, obłok, dźwięk, liście!..
Żegnam cię, Świecie!

*

Nie szumcie, Skrzydła! Ja i tak pamiętam,
Że to jest jutro... i klatkę-m otwarła:
Niech piórko leci — nie pętam! —
Jam już umarła.

Umarła jestem... bo widzę tak mglisto
Proch mój, co jeszcze po ziemi się rusza,
Jakbym za bramą wieczystą
Stała — już dusza.

Widzę — z obrazów rzeczywistych siłą
Grób mój na stepie pod traw bujnych tłumem
I skrzydła nad tą mogiłą
Lecące z szumem.

Marya Grossek.

*) Na konkursie poetyckim *Prawdy* wyróżnione zostały ze szczególnem odznaczeniem dwa utwory nieznanej dotychczas autorki, z których jeden („Apoteoza“) drukować będziemy. Tymczasem zamieszczamy piękny jej wiersz.

SPRAWY EKONOMICZNE

RURAL EXODUS.

I.

Na św. Józef, 19 marca powracają bociany a wraz z nimi powraca może nie kalendarzowa, ale wiejska, rolnicza wiosna. Z wiosną, zaś rodzą się nowe, mimo wszystko, mimo doświadczenia i smutki, mimo wspomnienia — zawsze świeże nadzieje. Jedno jest dziś właściwie na wsi, na folwarku obywatelskim ognisko myśli i nadziei; wobec niego wszystkie dawne umartwienia, procenty żydowskie, ceny niskie stanęły w cieniu, pogasły; dziś o jednem tylko mowa: niema robotników. W tym punkcie nadzieje krzyżują się ze wspomnieniami, najbliższa przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zlewają się w jedną olbrzymią rzekę skarg i nawoływań. Mroźna zima na chwilę jakoby ścięła bieg tych narzekań. W jej atmosferze echo jesiennych elegij hiobowych napozór zginęło. Teraz lody ruszyły, skowronki już się uganiają, bociany lada dzień zawitają do odwiecznych gniazd swoich: wspomnienie odżywa w dniu dzisiejszym, dzień dzisiejszy przegląda się w—jutrzejszym, a wszędzie ten sam obraz, ta sama modlitwa, co gorsza te same hasła, ta sama receptura.

Już rok ubiegły był w gospodarce wiejskiej tragicznym; naprzekór zwyczajowi i porze roku w końcu września zbierano owsy, z siewami ledwie uporano się na Wszystkich Świętych. Gdzie było przyjechać: do miasteczka w dzień targowy, do powiatówki, aby podatki popłacić, zawitać w gościnne progi dworków modrzewiowych, wszędzie słychać było jedno: brak rąk do pracy. W pismach t. zw. „broniących interesów ziemiańskich“,— wypisano całą bibliotekę elegij, usłużny reporter poobléwał żółcią zjadliwą t. zw. głupotę chłopa, jego „owcze pędy emigracyjne,“ naganiaczy z prowincyj nadbałtyckich, Niemca, który ciągnie Maćka za kordon itd. itd. Mózg nasz nadmiernie, jak wiadomo czuły, na wszelkie wrażenia zewnętrzne, poddający się z łatwością suggestyom wszelakim, zaledwie obronić się może tym stałe, miarowo uderzającym weń argumentom: niema robotnika! Zapadł się w ziemię, rozwiał się, niby mgła poranna w powietrzu. „Dwa lata temu — biada szlachcic — dawałem mu złotówkę

i pięć groszy, łżyłem, niekiedy częstowało się szturchańcem — było go w bród. Dziś, daję pięćdziesiąt, dwa złote, nawet dwa i groszy dziesięć, obchodzę się jak z jajem, szukaj go z latarnią w południe." Głos to bynajmniej nie odosobniony. To nietylko pan Antoni z pod Bieżunia i pan Bolesław z pod Pijawni, ale w Szczuczyńskiem i Kutnowskiem, w Olkuskiem i Konińskiem, pod wielkiem przemysłowem miastem zarówno, jak i w promieniu osad nie posiadających ani fabryk, ani przemysłu, wszędzie na całej przestrzeni Królestwa, ta sama płynie pieśń Jeremjaszowa...

Rozumie się nie koniec na pieśni. Jeżeli kto chory, idzie do lekarza, jeżeli sąd doskwiera, szuka rady u palestranta. W biedzie społecznej na nic „specyaliści," tu każdy mądry, tu o radę jaknajłatwiej. Znachorem społecznym rodzi się każdy. Radzą tedy wszyscy, głupi i rozumni, dobrzy i źli, krzyżują się opinie. Zwykle rozstrzyga większość, to znaczy nie najbardziej rozumni, najlepsi, najwięcej doświadczeni. Rada jest: „robotnik wiejski idzie za morze, do Niemców „na Hanowry" *), nie pozwolić, zamknąć granicę! Nie chcesz Maćku słuchać dziedzica, nie posłuchałeś proboszcza, niech cię strażnik pograniczny rozumu nauczy. Twój obowiązek w domu siedzieć, chleb *mój* spożywać, dzieci chować (tylko aby w szkodę nie szły!), do kościoła możesz co niedziela chodzić (tylko, aby konie z łąki w owies nie uciekły!), a dwa razy do roku na Wielkanoc i na Boże Narodzenie odwiozą cię tam dworskie konie; po latach najdłuższych pracy, pochowamy cię, jak Bóg przykazał i na trumnę drzewa dostaniesz z dworskiego lasu, i „wieczny odpoczynek" zaśpiewa ci gromada braci twoich."

Te słowa prędzej czy później dochodzą uszu Maćkowych. Trochę wyczyta się, trochę powiedzą dobrzy ludzie. Maciek poskubie się w głowę, usta otworzy, powiekami pomruga, i oświadczy babie: „ot pańskie gadanie! Dlaczego to *moje* „prawo" w domu siedzieć, a *pańskie* „po cieplych wodach" pieniądz tracić? Dlaczego to *nasze* „prawo," w tej stęchłej, jednookiennej izbie gnić, gdzie o pożar tak łatwo, jak w stodole o mysz, a *pańskie* — pałace sobie budować? Harujesz rok cały, ledwie długi w „dworskim" sklepie popłacisz, świnia zdechła, kury padły na zarazę jakowąś, a jedną to pan zastrzelił, bo po życie zasianem chodziła." Tak, mniej więcej, powie Maciek, resztę w duchu dośpiewa (i ściany uszy mają), tobołek spakuje, u krzyża na rozstajnej drodze pacierz zmówi, a potem: „żegnaj mi żegnaj kraju kochany!...

Tak przedstawiał się w ogólnej formie proces emigracyjny po jednej i po drugiej stronie dotychczas. Tak mniej więcej rozumował pracodawca i wychodźca. Pożądania atoli i groźby plantatorów, którzy widzieli jedyną drogę ratunku w zamknięciu granicy, w podcięciu zapędów emigracyjnych u samego korzenia — znajdowały się — że tak powiemy, w stanie płynnym. Nie osadzały żadnych widocznych kryształów prawno - publicznych. Były to tylko dąsy, jakieś w formie głośnego łkania rozsypujące się, nieartykułowane dźwięki, jakieś podziemne, dalekie, niewyraźne drgawki energii potencyalnej. Ale kiedy skowronki zaintonowały pobudkę wiosenną, zaszła tu pewna zmiana. Z pod śnieżnego niewinnie białego kobierca wyłonił się pierwiosnek. Oto niejaki pan W. Wodzyński, obywatel ziemski, zgłosił się do *Warszawskiego Dziennika* z listem treści następującej. „Skutkiem corocznego wzrostu emigracyi robotników do Niemiec trudno będzie w tym roku dokonać zbioru zbóż i innych produktów rolnych; stan też rolników i tak już nieświetny, chyli się do zupełnego upadku. Jedyna nadzieja zbawienia polega na łaskawości naszego rządu, który zawsze dbał o dobrobyt rolników. Prawda, że ludzkość nie pozwala ograniczać prawa zarobkowania. Ale jeżeli wysokość tych zarobków, które zwiększają się prawie tylko o różnicę kursu, nie jest jedyną przyczyną emigracyi, a głównie jej sprężyny tkwią w innych okolicznościach, prowadzących do zaszczepiania ludowi wiejskiemu od młodości idei przewrotu i rozpusty a także w chęci uchylania się od obowiązku służby wojskowej, czego dowodem jest brak rekrutów w r. 1899 — to zaprowadzenie pewnych skrępowań, w prawie wyjazdu za granicę, trzeba uważać za konieczne i zupełnie usprawiedliwione. Takim najstosowniejszym zakazem, który nie obrażając zasad humanitarnych, mógłby przeciwdziałać zgubnemu wpływowi kultury zagranicznej na młodzież wiejską i przez to zarazem przyszedłby z pomocą rolnikom — byłby zakaz wydawania kart legitymacyjnych i paszportów robotnikom nieletnim płci obojej przy jednoczesnem wprowadzeniu zmiany do ustawy poborowej a mianowicie przy uzupełnianiu braku rekrutów nie według powiatów lecz według gmin. W. Wodzyński (m. p.)."

List ten redakcya *Warszawskiego Dziennika* uzupełniła poważnym komentarzem w formie przypisku, który podajemy w dosłownym przekładzie:

„List jednego z rolników tutejszych zalecający środki zakazowe w celu przecięcia emigracyi czasowej robotników za granicę, zasługuje według nas na uwagę nie dla oryginalności myśli, które zawiera, ale jako wyraz opinii, dość rozpowszechnionej śród ziemian kraju tutejszego. Opinia ta była nieraz wypowiadana w dziennikach polskich, które upatrują główny powód, nieświetnego stanu rolników właśnie w braku rąk roboczych, odciąganych za granicę wtedy, gdy są najbardziej potrzebni. Chcąc powstrzymać włościan od emigracyi czasowej, te pisma, a za niemi i autor wydrukowanego listu, rozprawiają o niebezpieczeństwie szczepienia ludowi od wczesnej młodości idej przewrotu i rozpusty i dlatego żądają „ograniczenia prawa przekraczania granicy"; jedne — zupełnego zakazu wędrówek, inne zakazu tylko dla nieletnich. Słowem chcianoby jednym strzałem zabić dwa zające: stan obywateli polepszyć i moralność włościan uratować.

„Takie skojarzenie dwu odmiennych celów mimowoli prowadzi do przypuszczenia, że troska o moralność wysuwa się tu tylko dla wzmocnienia argumentacyi na rzecz środka, którego głównym celem ma być polepszenie bytu rolników. Boć rzeczywiście uczucia humanitarne nie pozwalają ograniczać prawa zarobku i byłoby jakoś niezręcznie powiedzieć poprostu, że zakaz emigracyi pożądany jest jako środek sprzyjający interesom obywateli.

„Ale czy już sam fakt potrzeby szukania argumentów nie dowodzi, jak nieuzasadnioną jest propozycya ograniczania wolności wędrówek włościan nadgranicznych. Niema wątpliwości, że gdyby włościanie nie wychodzili za granicę na zarobki w pasie granicznym, byłoby więcej rąk roboczych: *ale wszak byłoby ich tam jeszcze więcej i byłyby jeszcze tańsze, gdyby wrócić do pańszczyzny!*

Autorowie projektów nie mają odwagi zalecić tego środka, nie spodziewając się powodzenia; lecz co do częściowego ograniczenia wolności ruchów, myślą inaczej, bo tu można powołać się na pożytek i dla rządu, który cierpi skutkiem uchylania się emigrujących od służby wojskowej i dla moralności ludu. Pozory dla ograniczenia czasowej emigracyi wyglądają poważnie. Ale dość jest przypomnieć sobie niedawną przeszłość, kiedy to włościanie nie otrzymywali paszportów zagranicznych, aby się przekonać, jak dalece pozory te mylą. Wędrowano i wówczas na zarobki, lecz potajemnie, nielegalnie, a skutkiem tego kosztem włościan żywiły się bandy dobroczyńców, którzy ich przeprowadzali przez granicę; uchylanie się od obowiązkowej służby w wojsku, zdarzało się dawniej tak samo często, jak obecnie. Zresztą gdyby nawet te ostatnie wypadki były w chwili dzisiejszej liczniejsze, to czyż można dla paru dziesiątków ludzi więzić tysiące?

„Zgadzamy się najzupełniej, że wędrówki włościan na zarobek narażają ziemian tutejszych na zmartwienia i straty. Ale zaradzić temu może jeden tylko sposób: polepszenie warunków pracy. Jeżeli włościanin zobaczy, że jednakowe korzyści czekają go w sąsiedztwie najbliższem (obywatela folwarcznego) — to nie powędruje za granicę.

„Wszakże włościanin tutejszy nie jest takim włóczęgą, aby się puszczał w daleką podróż ot tak sobie, dla rozrywki. Przeciwnie, żywi on bardzo wielkie przywiązanie do ojczystego zagona."

Tyle *Warszawskij Dniewnik*. P. Wodzyński i jego mandataryusze — rzeczywiści i przypuszczalni, otrzymali doskonałą i przedmiotowo i podmiotowo odprawę. Nietylko argumentacya jego, a więc sam projekt, rady co do wykonania — zostały ostatecznie strzaskane, ale faryzeizm i przewrotność sromotnie zdemaskowano. Pan Wodzyński należy do ludzi, którzy wszystkie zagadnienia, płoszące im sen z oczu, rozwiązują po drodze najmniejszego oporu. Krótkowidz z konieczności, czy z obłudy, nie widział autor tego szacownego dokumentu, że linia, którą wykreślił mocą swego umysłu i fantazyi, zaczyna się u zamknięcia granicy dla robotników nieletnich, ale fantazyi tej nie starczyło, aby dostrzedz, gdzie się owa linia kończy. Pogromca p. Wodzyńskiego wskazał dobitnie, że tego punktu ostatecznego wcale nie trzeba szukać w nieskończoności: leży on raczej po za nami, a imię jego: *pańszczyzna.*

Oto jak wygląda pierwszy spotkany w tym wiosennym tygodniu pierwiosnek znachorstwa społecznego na polu emigracyi robotniczej. Na szczęście nie jest on ani jedyny, ani samotny, ani ostatni. Ma towarzyszów „innej barwy i autoramentu." Warto i należy przyjrzeć się im z konieczności bliżej a uważnie. Warto również z głębszego, bardziej ogólnego stanowiska rozpatrzyć próbę zamknięcia granicy przed obieżysastwem. Jako najłatwiejsze rozwiązanie kwestyi będą one jeszcze to w tej, to w innej formie powracać na scenę rozpraw publicznych. Dlatego warto i trzeba raz na zawsze wyrobić sobie dokładny w tej kwestyi pogląd. Uczynimy to w artykule następnym.

Zen. Por.

*) Do Hanoweru — w tej formie słyszałem te wyrazy od obieżysasów.

W DALI.

Petersburg. *Nowosti* piszą: Ogłoszony niedawno bilans banków handlowych za rok 1899 rzuca pewne światło na znaczenie t. zw. przesilenia pieniężnego, które przechodzi obecnie świat handlowo - przemysłowy. Okazuje się, że przyczyną tego jest nie zmniejszona podaż pieniędzy, lecz wzrost zapotrzebowań. Suma wkładów, jakimi rozporządzały banki handlowe w 1899 r., zwiększyła się w porównaniu z rokiem poprzednim o 4 miliony rubli. Suma pożyczek na rachunku bieżącym wzrosła o 14 milionów. W dziale innych obrotów dało się zauważyć mniejsze ożywienie, w każdym razie nadwyżka wyniosła $6\frac{1}{2}$ miliona rubli, z których 2,900 tysięcy rubli przypada na banki petersburskie, 2 miliony na moskiewskie i 1,600 tysięcy na prowincyonalne. Wzrost sumy otrzy-

manych procentów tłomaczy się wysoką normą dyskonta, znacznie podniesioną w roku 1899, gdy tymczasem procent, opłacany przez banki, pozostał bez zmiany. Wobec tego można było się spodziewać, że i dochody banków się powiększą, ale niepomyślne warunki, wywołane przez krachy paru firm pierwszorzędnych, odbiły się ujemnie na budżecie banków, wpłynąwszy na zniżenie się ceny papierów procentowych, znajdujących się w portfelach banku. Ogólna jednak wartość papierów, głównie w bankach petersburskich, podniosła się nieco. Tym sposobem przesilenie pieniężne w pewnym stopniu będzie miało wpływ dodatni na interesy banków." — W r. 1870 ministeryum spraw wewnętrznych otrzymało polecenie opracowania planu reformy rzemiosł. Z czasem atoli sprawa ta przeszła w ręce ministeryum skarbu. Gdy w r. 1890 badano w drodze prawodawczej przepisy względem nieletnich robotników fabrycznych, Rada państwa zaleciła ministeryum opracowanie w ciągu lat trzech odpowiednich przepisów także względem uczniów rzemieślniczych. Po upływie trzech lat odroczono termin. Obecnie d. 14 października r. b. upływa termin piątej prolongaty. Otóż na wiosnę r. b. powstaje w ministeryum skarbu komisya, mająca opracować zasady dozoru nad pracą i stanem nieletnich w zakładach rzemieślniczych sześciu miast głównych: Petersburga, Moskwy, Warszawy, Kijowa, Charkowa i Odesy. Tak więc prace komisyi dotyczyć będą około 40,000 uczniów rzemieślniczych. Do prac komisyi zaproszeni będą przedstawiciele ministeryów spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, rad miejskich, zarządów rzemieślniczych, Towarzystwa technicznego, Towarzystwa humanitarnego, Towarzystwa opieki nad ubogiemi dziećmi itd. Prace komisyi mają być tak prowadzone, ażeby Rada państwa mogła je rozważyć w jesieni r. b. Wiadomości te podaje *Nowoje Wremia*.

Kijów. Według zapewnień *Mosk. Wied.*, instytucya naczelników ziemskich będzie wprowadzona do gubernij południowo-zachodnich w r. 1901. Terytoryum władzy każdego naczelnika ma zawierać w sobie 3—6 gmin z ludnością 10—20,000. Sędziowie miejscy będą tylko w miastach gubernialnych i większych powiatowych, w liczbie 50 na cały kraj. Właściwością projektu jest to, że wszystkie drobne miasta powiatowe wraz z licznemi w kraju miasteczkami (przeszło 450) będą ulegały władzy naczelników ziemskich narówni z osadami wiejskiemi. „W czasie obrad nad projektem reformy na miejscu, piszą *Mosk. Wied.*, wyrażono następujące zdanie: wobec tego, iż zgromadzenia mieszczańskie z ich żargonem, dla nikogo nie dostępnym, przypominają dawny zarząd kahalny, że więc jedynie udział bezpośredni władzy silnej może zburzyć tak szkodliwy ustrój przeciwpaństwowy, jak ustrój kahału, władzy naczelników ziemskich powinny ulegać zarówno wsie, jak zarządy mieszczańskie." Pod tym też względem instytucya naczelników ziemskich w kraju południowo-zachodnim zasadniczo różnić się będzie od takiejże w gub. wewnętrznych. Liczba cyrkułów ziemskich również ma być większa znacznie: na powiat wypadnie ich 9—10, na gubernię zaś 110, w całym bowiem kraju ma być 330 naczelników. Etat naczelników także będzie większy — do 3,000 rb. rocznie. „Powiększenie etatów tłomaczy się zarówno rozszerzeniem władzy, jak i okolicznością, iż wobec małej ilości w kraju żywiołu szlachty osiadłej rosyjskiej, z pośród której mogą być mianowani naczelnicy ziemscy, wielu naczelników nie będzie pochodziło z grona właścicieli ziemskich miejscowych, lecz z grona przyjezdnych; będą to więc osobistości, zmuszone wynajmować mieszkania i dla siebie i dla swoich biur; lecz za to wszyscy naczelnicy ziemscy będą Rosyanami." Z chwilą wprowadzenia naczelnika skasowane będą urzędy „pośredników pokoju" (komisarze włościańscy) i sędziów pokoju: cała władza administracyjna i sądowa spocznie w ręku naczelników ziemskich. Sędziowie pokoju pozostać mają jedynie w Kijowie. Wreszcie *Mosk. Wied.* twierdzą, że koszty utrzymania naczelników wyniosą znacznie więcej, niż obecnie wynoszą koszty utrzymania pośredników i sędziów pokoju.

Ryga. Korespondent *Ryżsk. Wiestnika* podaje następujące szczegóły: Dziesięć lat temu szczupłe grono osób inteligencyi miejscowej założyło czytelnię polską przy środkach mniej niż skromnych. Opłata od abonentów powiększała wciąż te środki i w r. 1898 wzrosły one o tyle, że czytelnia zdobyła się na lokal własny. Od roku zeszłego pozostaje ona pod opieką miejscowego polskiego Towarzystwa dobroczynności, przyczem czysty dochód z czytelni, jaki pozostaje po opłaceniu wszystkich kosztów, idzie na rzecz Towarzystwa. Za korzystanie z książek płaci się 3 rb. rocznie, młodzież szkolna 1 rb. 50 kop. Historya powstania tej instytucyi, kończy korespondent *Ryżsk. Wiest.*, służy przykładem, że przy pewnej dozie dobrych chęci i energii można dokonać rzeczy ważnej, nawet posiadając środki nieznaczne.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Warsz. Dniew.* umieścił artykuł p. Orfenowa o przeciążaniu formalistyką biurową i pisaniną pisarzy urzędów gminnych w Królestwie Polskiem. W każdym powiecie panuje inny system biurowości, bardzo skomplikowany. W pewnym powiecie żądają np. przysyłania co kwartał odpisu kontroli, zanim wpisze wydatek do księgi kasowej. Terminowych doniesień gmina ma taką ilość, że z góry ma na wszystkie pytania podrukowane blankiety z odpowiedziami. Naprzykład: „W gminie N. składów soli niema," „W gminie N. dżumy nie widać," „— nosacizny końskiej niema," „nie umarł nikt z rezerwy, ktoby posiadał order wojskowy" itd. Oprócz tego odpowiada się na setki tysięcy poszukiwań osób: „W gminie N. pomimo starannego poszukiwania nie znaleziono mieszkańca gub. Kazańskiej, Abdułą-Ogły Desztamurowa." Autor artykułu twierdzi, że wystarczyłoby najzupełniej, gdyby gminy odpisywały tylko wtedy, gdy mają coś twierdzącego do doniesienia, o ile znajdzie się w gminie skład soli, nosacizna itd. Uproszczenie takie byłoby dobrodziejstwem dla przeciążonych pracą pisarzów Autor nawołuje także do ujednostajnienia systemu kontroli. W niektórych powiatach gminy prowadzą po 56 rozmaitych ksiąg kontroli, w innych po 24 (szkoły, szarwarki, bydło rogate, podatki itp.).

— W pierwszych dniach b. m. w ciągu dwóch dni przez komorę w Praszce przeszło do Prus około 13 tysięcy robotników. Wielu próbowało przemknąć się bez paszportów.

— Na posiedzeniu wydziału szpitalnego przy warszawskiem Towarzystwie hygienicznem dr. T. Dunin zrobił wniosek o położeniu asystentów w szpitalach. Nie byli oni przewidziani ustawą szpitalną, a jednak wytworzyły ich same potrzeby szpitalne— są dziś niezbędni dla ordynatorów, lecz ponieważ nie otrzymują wynagrodzenia, spełniają więc swe czynności tylko w chwilach wolnych od zajęć. *Warsz. Dn.* proponuje, aby wyznaczono im pensye choćby w wysokości 300—500 rb. i mieszkanie.

— Budżet sześciu przytułków dla położnic w Warszawie na r. 1900 obejmuje w dochodach 17,650 rb., w wydatkach 17,941 rb. W r. z. dochody wynosiły 17,660 rb., wydatki 17,500 rb.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj postanowiło zorganizować służbę lekarsko-sanitarną na kolejach podjazdowych i liniach drugorzędnego znaczenia.

— Pisma petersburskie donoszą, że wkrótce już rozpoczną się roboty około stałego połączenia telefonem Petersburga z Warszawą.

Szkoły. Grono właścicielek pracowni sukien oraz strojów damskich występuje z prośbą do władzy o założenie szkół niedzielno-rzemieślniczych dla uczennic tego fachu. Inicyatorki żądają, aby dziewczęta, podobnie jak chłopcy, uczęszczały do szkół w dni niedzielne i świąteczne i bez ukończenia szkół nie były wyzwalane na pracownice samodzielne.

— Główny zarząd kolei w państwie rosyjskiem postanowił zaprowadzić w r. b. nowego rodzaju bilety do przejazdu bezpłatnego tak dla swoich urzędników, jako też wogóle dla wszystkich urzędników kolejowych. Nowe bilety mają być zaopatrzone w fotografie właścicieli celem zapobieżenia praktykowanemu dotąd udzielaniu tych biletów osobom innym.

— Od 24 b. m. będą przyjmowane do uniwersytetu zurichskiego cudzoziemki tylko po złożeniu egzaminu, równającego się szwajcarskiej maturze; patent rosyjski, nawet ze świadectwem 8-klasowem z łaciny, nie ma już wartości. Egzamin dla cudzoziemek, wstępujących do uniwersytetu zurychskiego, jakkolwiek obejmuje zakres matury szwajcarskiej, nie daje jednak tych praw. Pragnący dowiedzieć się bliższych szczegółów mogą zwracać się do „Towarzystwa młodzieży polskiej w Zurichu," Culmanstrasse 64 I.

Finanse. Ministeryum skarbu podaje do wiadomości, że postanowiono przedłużyć wymianę biletów kredytowych 25-rublowych emisyi 1887 r., 10-rublowych emisyj od 1887 do 1892 r. i 5-rublowych emisyj od 1887 do 1894 r., tudzież 100-rublowych koloru tęczowego z portretem Cesarzowej Katarzyny II, do 1 stycznia 1902 r.

Kasy. D. 4 b. m. w sali Muzeum przemysłu pod przewodnictwem prof. Struvego odbyło się ogólne zgromadzenie uczestników warszawskiej kasy literackiej. Do komitetu wybrani zostali pp. Julian Ochorowicz (gł. 98), Jan Gadomski (gł. 79), Zygmunt Wasilewski (gł. 72) i Stanisław Krzemiński (gł. 65). Z kolei największą ilość głosów otrzymali: ks. Gralewski (gł. 59), Mścisław Godlewski (gł. 36) i Ignacy Chrzanowski (gł. 22). Do komisyi rewizyjnej przez aklamacyę powołano te same osoby. Na członków honorowych komitet kasy wybrał: Henryka Sienkiewicza, Aleksandra Głowackiego (Bolesława Prusa), Jadwigę Łuszczewską (Deotymę), Tadeusza Korzona, Ludwika Jenikego i Antoniego Pietkiewicza (Adama Pługa).

— Kasa pożyczkowo - oszczędnościowa lekarzy, założona w r. z., liczyła 100 członków, a w tej liczbie 42 prowincyonalnych. Do d. 26 z. m. wkłady jednorazowe wynosiły 766 rb., miesięczne 1,492 rb., dobrowolne 228 rb., depozyty na zabezpieczenie pożyczki 1,000 rb. Warszawa liczy około 700 lekarzy, prowincya także kilkaset. Na tak znaczną liczbę widzimy zaledwie 100 uczestników w Kasie. Nie dowodzi to wcale zainteresowania się lekarzy tak ważną instytucyą. Skoro na zgromadzeniu ogólnem uczestników wice-prezes zarządu, dr. Józef Zawadzki, przedstawił projekt porozumienia się z wybitniejszemi firmami handlowemi, aby członkom ułatwić kupno różnych towarów po cenach niższych i na zasadzie kredytu, otwartego w Kasie. Na prezesa Kasy powołano p. Ochorowicza, wiceprezesa p. S. Krzemińskiego. Ponownie zaś: na skarbnika p. A. Donimirskiego, na sekretarza p. J. Matuszewskiego.

Gospodarka miejska. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło projekt budowy nowych linij tramwajowych w Warszawie na ulicach: Dobrej, Solec, Tamka i w Alei Jerozolimskiej do Nowego Światu. Budowa tych linij, odkładana dwa lata, nie wiadomo, czy i w r. b. będzie dokonana. Zwłoka spowodowana jest projektowanem w mieście urządzeniem oświetlenia elektrycznego. Z tej przyczyny magistrat zastanawia się, jak byłoby wygodniej dla miasta, czy budować nowe linie z siłą pociągową końską, czy też zastosować do tego energię elektryczną. Podług projektu, budowa tych linij z siłą pociągową końską, nie licząc kupna gruntu na Woli na urządzenie w tej dzielnicy remizy, będzie kosztowała 670,000 rb. Budowa linii z zastosowaniem siły elektrycznej wyniesie 967,000 rb. Z powodu wielkich kosztów w obu wypadkach oraz innych trudności, złączonych ze sprawą oświetlenia elektrycznego, magistrat najpierw szczegółowo zbada sprawę, jaki system wybrać, gdyż ma na widoku przy urządzaniu oświetlenia elektrycznego prąd elektryczny użyć do wszystkich linij tramwajowych w mieście. Sprawa ta będzie przedmiotem narad fachowych kół zarządu miejskiego w najbliższym czasie. Wiadomość tę podają pisma codzienne.

Zmarli. Wincenty Ronisz, dziennikarz, w Warszawie.

— Do dzisiejszego numeru dołączamy dla wszystkich prenumeratorów numer **Ekonomisty**.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Марта 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.